

G. Zapolska

Szmat
ŻYCIA



SZMAT ŻYCIA

Wincenty

Dobromy

Wasiłkon du. 15/11-20r

177.

Gabryela Zapolska.

SZMAT ŻYCIA

POWIEŚĆ

Część II.



WARSZAWA.

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Telefon 195-52.



47 132/2

K-17/77/67872

CZEŚĆ DRUGA.

V.

Gdy z zadumy swej się ocknął, łódka już między wzgórze wplynęła, wzgórze Wołochowem zwane, głośnie swą mogiłą wisielczą. U rozstaju ścieżyn, pomiędzy pagórkami się wijących, sterczała duża mogiła kamieniami narzucona. Według podań, na wieczornicach wysnutych, chłop, który, ojczymem będąc, pasierba z sadyby wygnał, niesamowitym został i na rozstaju, wśród strasznej wichury, się obwiesił. Wrzucony do tej mogiły na uroczysku Wołochowskiem, ludzi nocą straszyl, aż, kamieniami przywalony, spokojnie w ziemię legł.

Antoni, dostawszy się pomiędzy wzgórze, z uśmiechem je powitał. Snać miłe wspomnienia budziły w nim te drzewa, czerniące na prawie prostopadłych bokach jarów. Aksamitne czarne były wgłębienia tych wzgórz, bezustannie łączących się z sobą. Wierzchołki jaśniały zieloną, wesołą barwą drzewek drobnych, niemal karło-

watych sosenek, jedna w drugą wtulonych. Cały łańcuch tych drobnych gór ciągnął się dokoła, wyrastając, zda się, jedna z drugiej, kładąc się u podstawy szerokimi, rozłożystymi masami.

Na jednym z tych wzgórz, na czarnem tle zieleni, tuż koło mogiły wisielczej, stała Marya, ostro się jasną linią swej świątecznej sukni odcinając. Antoni w łódce powstał i, wiosło w muł wpychając, do brzegu się kierował. Cytra ze snu zbudzona, przysiadła, wesolo w stronę czekającej dziewczyny naszczekując. Twarz Antoniego promieniała teraz wielką radością. Czarne jego oczy obejmowały życzliwie smukłą postać dziewczyny, która, przed promieniami słońca się kryjąc, liść paproci nad głową niosła.

Łódka przy brzegu zchyotała, w muł się wbijając. Antoni umiejętnie ją pomiędzy większe głazy skierował, aby spokojnie stać mogła i, szybko po kamieniach skacząc, ku Maryi biedz zaczął. Za nim, szcękając, sunęła Cytra, cała biało różowa pod promieniami słońca.

Marya, nie poruszając się z miejsca, z uśmiechem na przyjaciela swego oczekując, rękę ku niemu wyciągała. On do ręki tej wreszcie przypadł i gorąco ją ścisnąć począł, patrząc w twarz dziewczyny, oblaną zielonawym blaskiem, filtrującym się przez cienkie liście paproci.

— A nie widzieliśmy się już dwa tygodnie— zaczął—burza przeszkodziła, ale przecież od południa ustała. Dlaczego pani nie przyszła? Ja tu czekałem do zachodu słońca. To niepocziwie!

Ona śmiała się wesolo.

— Miałam robotę niezłą — odparła, na głaz mchem porosły osuwając się. — Ciocia dobytek teściowej Jankła zniszczyła, a więc ja...

— A pani do późnej nocy pierzyny zszywałaś i szyby latałaś... prawda?

Marya szeroko otworzyła oczy.

— Zkąd pan wiesz o tem?

Antoni usta przygryzł.

— Słyszałem... mówili mi...

— Kto?

Na twarz Antoniego wybiegł silny rumieniec, dosięgnął czoła, szeroki kark oblał i zniknął za kołnierzem niebieskiej koszuli.

Oboje teraz milczeli, nagle zdjęci zakłopotaniem; pomiędzy niemi, wśród tych blasków słońca i powodzi zielonej, mignął nagle czarny płaszcz włosów żydówki i przesunęła się jej postać o złotawo-gorących połyskach nagiego ciała.

Wreszcie Marya pierwsza milczenie przerwała.

— Żle z nami — wyrzekła powoli, z niedostrzegalnym drżeniem w głosie—jakieś tajemnice się płaczą, ot coś, co nam słowa w gardle więzi. Że nie moja w tem wina, to pewna. Od lat dwóch spędzamy ze sobą popołudnie niedzielne i zdawało mi się, że znamy najdoskonalej uczucia nasze i myśli zakątki. Lgnęłam do pana, do tej przyjaźni, duszą i sercem całym, bo... choć się nigdy nie skarzę i staram się mieć dla innych twarz pogodną i wesolą, toć każdemu przyjdzie chwila ciężka, gdzie się mimowoli

szuka przyjaznej twarzy i pragnie ten ciężar z duszy wspólnymi siłami zrzucić.

Umilkła na chwilę, jakby czekając na jakieś słowo z ust mężczyzny, który wszakże milczał, głowę na piersi zwiesiwszy.

— I dobrze nam tu było—zaczęła znowu—dobrze nam tu było pomiędzy tą zielenią i z tą srebrną rzeką u dołu się wijącą. Oboje otwieraliśmy przed sobą przeszłość, biedną naszą, przeszłość dwojga biedaków, którzy się w słońcu chowali, lecz mało słońca w duszy mieli. Wymienialiśmy pomiędzy sobą zdania, staczali walki, bujali w dziedzinie marzeń, bawili się w chłopomanie, aby potem spaść na ziemię razem i już bez uludy naokoło spoglądać. I dobrze nam tu było z tem zapomnieniem o różnicy płci naszej, o tem, żeś ty—mężczyzną, ja—dziewczyną, ot!... dwóch chłopców, blakających się w czas wakacyjny po polu, a czasem znów dwoje dziewcząt, w błękit nieba wpatrzonych... Lecz teraz... coś się zmieniło, i ty oczy przedemną spuszczasz, wzrokiem po krzakach błędzisz, a ja...

Urwała nagle, nie umiejąc określić stanu swej duszy, cała podniecona jakąś smutną gorączką, która ją od tygodnia trawiła.

Lecz on teraz słowa jej podchwycił i, u stóp jej usiadłszy, powtórzył:

— A pani?

Ona brwi zmarszczyła, jakby niemile tem pytaniem dotknięta.

— Nie o mnie tu chodzi—odezwała się dość szorstko—nie ze mnie płynie to, co przyjaźń

nam psuje; jeśli jest coś we mnie to jest prostym wynikiem naszego obecnego położenia. No!... bądź pan szczerym, wyznaj mi, o co tu chodzi?

Antoni pot kroplisty z czoła otarł.

— Nie o co, możesz pani powiedzieć, lecz o... „kogo“—wyrzekł wreszcie z wysiłkiem.

— Tak!—podjęła porywczo Marya „o kogo“... o nią—o tę dziewczynę—o... Trejne!

Antoni szybko głowę podniósł i w oczy Maryi pytająco spojrział. Ona się uśmiechnęła ironicznie.

— Dziwisz się, zkąd wiem o tej wielkiej tajemnicy, którą starałeś się strzedz z taką siłą! Mówiłeś mi przecież, niedawno, po chwili rozmarzenia, że znalazłeś wreszcie istotę, której pragniesz oddać swe serce, duszę, czy ja wiem wreszcie—wszystko!... Zdawało ci się, że zdolasz przedemną do czasu ukryć imię tej kobiety, lecz—instynkt mój. Instynkt nie zawiódł mnie bynajmniej! Tą wybraną twą—Trejne! Trejne!... O!... Antoni!

W głowie jej brzmiała wymówka gorzka, ręką nerwowo liść paproci szarpała, rzucając strzępy dokoła.

— Dlatego właśnie imię jej tailem, bo wiedziałem, że nienawidź wrodzoną dla rasy jej żywisz!

— Dla rasy jej?—przemówiła Marya gwałtownie—nie dla rasy; mylisz się! Nie wahałam się wszakże z błota wydobywać ich pościeli, czyścić i gniazdo im lepić; lecz ta dziewczyna ma jakieś

dziwne spojrzenie, i cała wydaje mi się być złym duchem, po lesie biegającym.

Antoni uśmiechnął się nieznacznie.

— Przyjaźń dla mnie cię zaślepia, droga moja przyjaciółko! Trejne ma dziwnie nerwowy i ognisty temperament, lecz to już właściwość krwi, która w jej żyłach płynie... Lecz są chwile, w których uległa i łagodną jest, ot, wprost jak gołąbka. A przytem jest taka piękna!

Usta Maryi zadrgały nerwowo.

— Piękna!... oto słowo zagadki! Piękna!... i dlatego, nie zważając na jej w półdzikość, głupotę, niski stan jej serca i umysłu, zaprzepaszczas się w niej bez pamięci. O, Antoni, Antoni!...

— Synem ekonoma jestem.

— Och! nie o to tu chodzi, lecz o to, co za przyszłość dla siebie i dla niej gotujesz, powiedz...

Antoni przygryzł wargi.

— To... nasza tajemnica! — odparł wreszcie przyciszonym głosem.

Marya brwi zmarszczyła.

— Wasza... tajemnica!—powtórzyła powoli— więc znów tajemnica, i to wasza... przede mną. Och! wdzierać się w nią nie będę! I tak zawiele o sprawie tej mówię. Czuję, że źle robię, ale to już silniejsze odemnie. Pamiętaj pan jednak, ażebyś kiedyś nie pożałował skarbów swej serdecznej, poczciwej duszy, tak marnie pod stopy tej dzikiej żydówki rzuconych!...

Milczeli oboje długą chwilę, patrząc w przestrzeń. Przed nimi, po drugiej stronie rzeki,

piętrzyło się wzgórze, tworzące w odstępach, wypełnione zielenią, głębokie szczeliny. Olbrzymie bukiety paproci, przeplatane masą liliowych dzwoneków, kładły jasne, przejrzyste wachlarze na czarne tło gąszczu. Po obu stronach wąwozu jaśniała wązka, olśniewająca smuga światła, którego podstawą były fale rzeczne, mieniające się bezustannie morą srebra i błękitu. Ostra woń roślin wilgotnych, tłustych, w cień zapadłych, przepełniała powietrze. Cisza panowała dokoła prawie jak w świątyni. Chmary małych, żółtawych motyli kręciły się dokoła, na dzwonekach przysiadając. Woda tylko z szumem po kamieniach rwała, których tu dosyć z brzegów się staczało, szarych, poprzecinanych brunatnymi żyłkami...

Wreszcie Marya pierwsza z kamienia się podniosła.

— Iść mi już trzeba—wyrzekła, fałdy sukienki poprawiając.

Antoni na klęczkach u jej stóp pozostał.

— Gniewasz się pani na mnie?—zapytał nieśmiało.

— Ja?—odparła dziewczyna—za co? Jesteś przecież wolnym i przyjaźń moja nie może wiązać ci serca. Czyń, co uznajesz za stosowne i do szczęścia twego potrzebne; a jednak, powtarzam ci, że ja w tem szczęścia twego nie widzę.

Usta teraz zębami przycięła, wyniosła i zimna. Nie znając podniecenia zmysłów, zrozumieć nie mogła miłości Antoniego dla tej dziewczyny, której ramię podczas wędrówki opasywało ją na chwilę, jakby ogniową obręczą.

Trwożę, wstęś i żal czuła do Trejny, żal za zakłócenie tej spokojnej przyjaźni, która tu, w głębi uroczyska ukryta, była jedyną jeszcze gwiazdą na smutnem tle jej życia.

Ze smutkiem więc ukrytym, wzrokiem cały jar ogarnęła. Zdawało się jej, że po raz ostatni widzi wachlarze paproci, aksamit drzew i srebrną łuskę Styru.

Antoni z miną skruszonego winowajcy klęczał wciąż u jej stóp.

— Wstań pan! — wyrzekła porywczo. — Co robisz u nóg moich? Nie zbłądziłeś przecież wobec mnie samej. Rozerwałeś tylko nić, którą oboje snuliśmy od tak dawna! Sądziłam, że jesteś silniejszy, oto wszystko!...

Z piersi Antoniego wyrwało się westchnienie.

— Silnym jestem, panno Maryo — odparł, z ziemi się podnosząc. — Pani wiesz najlepiej... niczego się nie ulęknię, a jednak... Z tem walczyć niepodobna! Tak człowieka weźmie za łeb i duszę mu ściśnie, jak w kleszczel!...

Zaciśniętą pięścią po wypukłej piersi się uderzył.

— Ot... jak opętanie, pozbyć się ani weź! Męka to... och, jaka!...

Marya spojrziała nań zdziwiona. Miał rzeczywiście wygląd człowieka udręczonego bardzo, bo oczy podsiniące, policzki zapadnięte, usta niespokojnie drżące... Więc to była... miłość? Ach, nie! Sto razy nie! Ona nie podda się nigdy takiej torturze, zwłaszcza dla ulubionej mary!

I siłą swą zbrojna, ciągle zraniona w swej

dumie dziewiczej, zaniepokojona w półśnie letargicznym, z którego ocknąć się jeszcze nie chciała, cała przerażona brutalnością niezrozumiałego dla niej uczucia, które jej czystą szatę nieświadomości plamiło, rzucała chłodne i wyniosłe spojrzenie na zgnębitego mężczyznę.

— Nie wierzę, aby przy silnej woli pozbyć się takiego dobrowolnego wroga z serca niemożna było — wyrzekła powoli, ku dołowi pomiędzy gęstwinę roślin schodząc. — Gdybyś pan zechciał, powróciłaby ci dawna swoboda myśli i uśmiechu. Dziś jesteś pan już cieniem dawnego Antoniego, którego śmiech rozlegał się tak wesoło, lub który mi tu śpiewał „Hrycia“, akompaniując na swej harmonii. Straciłeś pan swobodę, a ja... straciłam przyjaciela!

On porwał ją za fałdy sukni, przytrzymując już prawie nad brzegiem rzeki.

— Nie mów pani do mnie w ten sposób — zawołał prawie rozpaczliwie. — Jak Boga kocham, nie z mojej winy ta rzecz się stała. Wszystko to na mnie spadło, jak burza i dosyć się nadręcę sam po nocach, ot, jak pies nieraz wyjąc do miesiąca. Jeszcze teraz pani odbierasz mi swą przyjaźń. Cóż teraz począć mi na bożym świecie!...

Marya odwróciła się ku niemu, prosto mu w twarz patrząc.

— Nie lubię ludzi słabych — wyrzekła, drżąc prawie z jakiegoś wewnętrznego wzruszenia, z którego sobie nie mogła zdać sprawy. — W tej chwili przedstawiasz mi się, panie Antoni, zana-

to słabym i bezwłasnowolnym. Ja, kobieta, nie dałabym się nigdy opętać takiemu uczuciu! Odchodzę. Gdy nic znów przyjaźni naszej rwać na strzępy nie będzie, zejdziemy się tu znów, by patrzeć na Styr, na paprocie, i śpiewać: „Nie chody Hryciu!”

I szybko brzegiem rzeki iść zaczęła, chłodna, wyniosła dziewica, głowę oblaną złocistą aureolą słoneczną, wysoko i dumnie niosąc.

Antoni nie biegł za nią, czując instynktownie, że zmysłowa miłość jego dla Trejny kała poniekąd zamkniętą w swej nieskalanej czystości dziewczynę.

Długo śledził ją wzrokiem, patrząc jak szła, objęta z obu stron ciemnymi ścianami wąwozu, migając bladawą sylwetką w błękitnawym blasku rozpadliny.

I nagle smutek wielki ścisnął mu serce. Zdawało mu się, że wszystko, co miał najlepsze w życiu, oddalało się od niego razem z odchodzącą dziewczyną.

Chciał biedz, wołać, lecz nie śmiał.

Marya szła bowiem ciągle prosto, nie oglądając się po za siebie. Wreszcie, zaczęła zlewać się powoli z masą błękitną, przepelniającą ujście wąwozu, chwilę jeszcze majaczyła w słońcu, wreszcie... znikła zupełnie.

Teraz Antoni pozostał sam jeden w tym wąwozie, po którym tyle razy głos jego śmiechem nabrzmiały płynął, a drugi głos dziewczyny, świeży, młody, mu odpowiadał.

Obejrzał się na wisielczą mogiłę, która hen,

daleko białymi kamieniami błyskała, cała dzikim bluszczem i łopuchem okryta, i serce mu się ścisnęło boleśnie, a nawet myśl o purpurowych ustach Trejny boleści tej odegnąć nie mogła. Marya, przypadkowo przezeń w tym jarze pełnego niedzielnego popołudnia spotkana, wyciągnęła ku niemu dłoń przyjazną i jego, prostaka, do siebie przygarnęła serdecznie, towarzyszem swych chwil wolnych czyniąc.

On przyjaźń tę przyjął i, sam prosty, niemal dziecinny, w dziewczęciu tem znalazł wdzięk wielkiej kobiecości z niepospolitym umysłem złączony. Nie olśniewała go wiedzą, boć sama jej nie miała, lecz podniecała w nim chęć zbadania rzeczy, dla niego dotąd niedoścignionych. Oboje więc razem szperali w książczynach, przez Antoniego w miasteczku znalezionej, szperali, dopomagając sobie wzajemnie. Kobieta wzięła tu na siebie rolę przewodnika, instynktem się kierując, on, jak pies wierny, u nóg jej legł, zasłuchany w słowa, z bladych ust jej płynące. Chwilami, porwani oboje pięknem, nagle z poszarpanych kartek się ku nim wylaniającem, milkli wpatrzeni w ciemną zieleń jaru, lub srebrną wstęgę wody; chwilami ręce ich w gorącym łączyły się uścisku, i siedzieli tak długo, z tą zadumą Wołyniaka w ciszę, o wieczorze letnim się ścielącą, wpatrzonego.

Ani na chwilę nie zadrgały w nich zmysły, pomimo krwi młodej, która im w żyłach płynęła. Ręce ich spletały się i rozpletały spokojnie, jak gałęzie jednej i tej samej rośliny. Byli sami, we

dwoje, w ciemnej zieleni ukryci, jeno paprocie słały im się pod stopy i Styr szemrał, po kamieniach biejąc. Oni, zasluchani w ciszę, siedzieli, czując niewypowiedzianą rozkosz w tem przeświadczeniu, że są obok siebie i mogą w każdej chwili głos swój posłyszeć, jakąś myśl zamienić, zapytanie rzucić...

Antoni zwłaszcza w tej spokojnej, równej, nie szarpiącej się przyjaźni, znajdował słodycz niezrównaną. Skłopotany gospodarskimi udręczeniami, wiecznie o grosz się troszczący, drżący z obawy przed gradem lub posuchą, przed mrozem lub trydniówką, przesiąkły atmosferą stajen, owczarni, mający jeszcze w uszach przekleństwa parobków, ocierający się co chwila o trywialne miłości dziewczynek, po za folwarkiem się kryjących, dążył do uroczyska wołochowskiego z radością, z myślą o tem smukłym, miłym dziewczęciu, które, uśmiechnięte, w swej biednej wytartej sukience, stojąc wśród mchu i zieleni, spracowaną rękę ku niemu wyciągnie i dobrem słowem powita...

Antoni łódkę od brzegu odepchnął i powoli na pełną wodę się wydostał. U nóg jego leżała „Cytra” i wciąż leb wykręcała w stronę, którą odeszła Marya, ciemno-błękitnymi ślepiami w przetrzeń patrząc. Wreszcie zawyla długo, przeciągle, jakby z żalu za tą, która odeszła, dumna, surowa i dla błędów innych — nieubłagana...

Łódka płynęła teraz z biegiem rzeki.

Antoni wiosło w łódź cisnął i sam z ławki

na rogozę się osunął, głowę w dłonie ujmując.

Odkąd w karczemce, w lesie, ujrzał czarny płaszcz włosów Trejny i poczuł dotknięcie jej gorącego ciała, przestał być panem siebie. Z początku sądził, że miłostka ta przemienie, jak każda inna z Hanką lub Paraską o szarej godzinie związana. Lecz Antoni w oczy żydówki w złą chwilę spojrzali, war gorący w żyłach poczuwszy, jak topielec w tę czarną bezdeń ciągnął. Powrócił do karczemki raz i drugi, czując się bezsilnym wobec tej półdzikiej dziewczyny, która, oparta o pień sosny, stała przed nim, złotawem swem ciałem z pośród lachmanów błyskając. W pół żartobliwą mową wyciągał z niej harcujące, gardłowe dźwięki i łamane, poplątane słowa. Przymilała mu się z pośród gąszczu swych włosów, jak czarna kotka, grzbiet swój o pień sosny trąc. Lecz gdy się do niej nagle przybliżył i, w drżące ramiona ją schwyciwszy, ustami do opalonej szyi przyłgnął, z harczeniem i przekleństwem z rąk mu się wyrwała, ugryzłszy go przedtem silnie w kark, z koszuli się odsłaniającej.

I odtąd trzymała go ciągle na uwieży, pod oczy mu podchodząc.

On—prawdziwy mężczyzna, raz dotknąwszy jej ciała, wolę stracił, i teraz, gdy czarną postać żydówki, koło dworu snującą się widział, wybiegał gorączkowo, aby ją wewnątrz domu wprowadzić i tam napawać się dziwną pięknnością jej

rysów, bogactwem i pyszną linią kształtów, złotobronzowym kolorytem jej cery.

Ona szła z pokoju do pokoju, dotykając z ciekawością ubogich, dla niej wspaniałych sprzączek, zatrzymując się przed niewielkim zwierciadłem, które nad włosianą kanapą wisiało. W milczeniu wpatrywała się w odbicie własnej postaci i tylko cienkie jej wargi zacinęły się w półokrągłym skurczeniu.

Z pierśią podaną naprzód, z oczyma w tafłę szkła wlepionemi, stała pogrążona w kontemplacji własnego ciała, zdając się nie dostrzegać obok siebie znajdującego się Antoniego, który z czołem gorącym, z rękami lodowo zimnemi, z karkiem potem oblanym, oddychał ciężko, w milczącą dziewczynę wpatrzony.

I, czując, że rozszalałe zmysły główną w tej sprawie grają rolę, Antoni starał się wynaleźć idealniejszą stronę swego zaślepienia. W smutnych oczach Trejny dopatrywać począł skargi na niedolę i niesprawiedliwość ludzką. Z matki zaczerpnięta egzaltacja dopomagała mu w tem usilnie. Nie mogąc tej dzikiej istoty rzucić sobie w objęcia — zaczął ją stawiać na piedestale świętości, odkrywając w niej najdoskonalsze strony, które z własnej duszy czerpał i w tę istotę przelewał.

Ona u nóg mu kuciała, ośmielając się powoli, jak oblaskawione kocię, które pazury w aksamit swej skóry chowa, cukru dostać pragnąc. I oczy jej miały zielone błyski, gdy wreszcie, dostrzegłszy silne w jej wzroku pra-

gnienie, pierścionek z palca zdjął i darował jej mówiąc:

— Weź; to pamiątka odemnie!...

Odtąd — codziennie do dworku przybiegała, drobiazg jakiś z niego wynosząc. I miała podobieństwo do czarnego kruka, za świecidełkiem goniącego. Antoni drobiazgi jej te dawał, znajdując w jej upodobaniu do błyskotek dziecinną stronę charakteru.

Ona to zrozumiała i, teraz, chcąc coś otrzymać, wyciągała krogulczo zagięte palce, mruczając:

— A kindele!

Powoli przecież czarna ta dziewczyna zaczęła wrastać w krew mężczyźnie. Jak pijak potrzebuje wódki, tak Antoni potrzebował ujrzeć jej drobną twarz, obramowaną masą czarnych włosów. Czasem, nocami gryzł swą skórzaną poduszkę i szarpał sznurek nocnej koszuli, który mu się aż w szyję wpijał. Czuł, że mu coś w kle-szcze serce bierze i do omdlenia ścisza. Czuł, że równowagę traci i w życie jego spokojne, życie ekonomczuka, na posesora wyrosłego, jakas mara ciemna się wciska i cień rozpościera. Napróżno zwracał się do pracy, w zamilowaniu swem do ziemi siły czerpiąc, za sierp chwytął, idąc z żeńcami na wyprzódki, las obchodził, w chłodzie swe czoło nurzając, zajmował się sprawami wsi i starał się wzbudzić w sobie dawno już wygasłą swą miłość dla ludu. „Kość z kości—chłop jestem” — mawiał wtedy, ze starzyną narady wiodąc. Lecz i to pomódz nie

mogło. Gdy pozostał sam, pierwsza myśl, jaka mu mózg przeszywała, było wspomnienie Trejny i gorące pragnienie ujrzenia jej jaknajprędzej, posłyszenia jej gardłowego głosu, wywołania na twarz jej, zwykle ponurą, promiennego uśmiechu.

Łódka płynęła ciągle, powoli się naprzód posuwając. Uroczysko znikło już oddawna i tylko wzgórze majaczyły, ziemną masą pokrywając płaszczyznę.

Antoni ręce od twarzy odjął, w górę spojrział, porę dnia badając.

— Późno jest — pomyślał, za wiosło chwytając — ludzie już ściągnąć musieli; śpieszyć się trzeba.

Po kilku chwilach znów myślą ku Maryi wrócił.

Dziwna dziewczyna! Odeszła z urazą w sercu, jakby nie mogąc zrozumieć, że miłość jego dla Trejny w niczem ich przyjaźni osłabić nie może. Owszem, gdyby mu pozwoliła wypowiedzieć się szczerze, serdecznie, odkryć cały stan duszy walką tą skolataną, byłby jej wdzięcznym bezgranicznie. Lecz ona zamknęła się w sobie, rozżalona, dumna, obrzucając go pogardą i przybijając jednym słowem:

„Nie lubię ludzi słabych!”

O! on słabym nie był i czuł wielką siłę do walki z życiem, jaką już prawie od dziecka toczył. Lecz to, co go ogarnęło, silniejszym było od niego samego. Walczyć z tem... napróżno; epiej już zostawić tak rzeczy, jak są!

„Cytra” niespokojnie na dnie łódki się poruszyła.

Antoni ocknął się z zadumy.

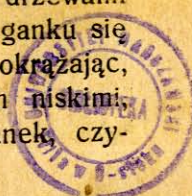
Znalazł się już przed swoim dworkiem, na stoku sadu. Pomiędzy drzewami białalo od ludzi, świątecznie przystrojonych.

Snadź mieszkańcy Modliszcz, Zabijanika, Omelna i Horki już nadciągnęli.

Korczyńskich chłopów widać było tu i owdzie, jak się z po za rzeki ku dworowi przybie-rali, na prom czekając. Zdało się nagle, że cała łąka zakwitła purpurą spódnic, bielą świt, jaskrawą pstrocizną chustek. Gromadami nad brzegiem ludzie siadali, buty na boscie nogi wdziewając. Kobiety świeże namitki na głowę wiązały, śliną dole skręcając...

Antoni do brzegu przybił i rażno z łódki wyskoczył. Całą troskę, gniewem Maryi i miłością dla Trejny sprowadzoną, usiłował z siebie otrząsnąć, stając się w tej chwili gospodarzem, przyjmującym w gościnę swych sąsiadów. Nie za co innego bowiem mieli się ci wszyscy ludzie, ciężkimi butami trawę sadu deptający. Sąsiedzi dworu, i to sąsiedzi często z góry na ten biedny dwór patrzący! Kurna chata powoli brała górę, strzechą swą dachówkę ku ziemi gniotąc...

Szybko przemknął Antoni pod drzewami i do dworu wpadł, aby za chwilę na ganku się ukazać. Już na dziedzińcu, oplotki okrążając, walił się cały tłum ludzi, śpiewających niskimi, ochryplymi głosy. Białalo od parcianek, czy-



sto wypranych, świt z siwego sukna, czarnemi plecionkami wyszywanych koszul, harasówką pod szyję związanych, zapasek perkalowych wąskich, na które czerwone pasy, z włóczki dziane, spadały. Jak purpurowe plamy, tak się płoniła na tem tle przeczystem, krasna serża fartuchów i kaszmir wiązanych chustek. Słońce zapalało złote iskry w paciorkach, spadających na piersiach kobiet, mieniło się purpurą w sznurach koralu, zakończonych całą masą zczerniałych medalików.

Na przodzie tego tłumu dwie dziewczki, rosłe, tegie, zdrowe, o spadzistych ramionach, wydatnych biodrach, niosły na głowach olbrzymie wieńce, przetykane pstroczną różnokolorowego papieru. Szły obie równo, wysuwając naprzód olbrzymie nogi obute w czarne wysokie buty, na które spadał gruby haft koszul, z pod płatów czerwonego sukna się wysuwających.

Płaty te opinały ciała dziewczyn, pod górę się wznosząc, przytrzymane pasami z zielonej wełny i pokryte białym perkalem zagiętych na bok fartuchów. Koszule, mocno u stanu ściągnięte, lekko włóczką zahaftowane, z kolnierzami szeroko odwiniętymi, obdziergane w ząbki białą bawełną, dozwalały widzieć szyje, silne i opalone, przecięte podwójną linią, właściwą tylko zdrowym kobietom.

Dziewki pod boki się ujęły i śmiało do ganku zmierzały, patrząc z trudnością po przez masy kłosów, które im na oczy spadały. Zwłaszcza ten pszeniczny wianek, ciężki, pełen bogatych

ziaren, ku ziemi się giał, swem doskonałem rozwinięciem brzemienno. Dziewka, niosąca go, Opanasowa Hapka, zielone oczy mrużyła, cała oślepiąca tem uderzaniem ciężkich kłosów, które ją po policzkach za każdym krokiem biły. Olena, wdowy Chimki córka, wyżej głowę niosła. Żyto, wiadomo, lżejsze, choć go chyba z dziesięć snopów na ten wianek użyto. Wielki bo był i pięknny nad podziw.

Antoni, na ganku stojąc, czekał i patrzył na ten tłum, białą masą dziedziniec zalewający. Była ich moc niemała, mieszkańców tych czterech wiossek, którzy ciągle jeszcze ścieżynami nadciągali, jak małe strumyki górskie z wielką falą się łącząc. I w pół zgięte staruchy na kijach oparte, strasznie pomarszczone, ot, wprost wiedzmy po nockach się kołające, wlokły się, bezzębemi szczęki ruszając i oczy czerwone, wyplakane, od słońca osłaniając. Koło nich szły gromady dzieci, w czystych koszulach, z głowami okrytymi szarobiałwami włosami, w schodki ponad czołem przyciętymi. Tu i owdzie widać było matkę z dzieckiem w płachcie, przez plecy przerzuconej, z drugim, wiszącym u spódnicy, z trzecim, bosych nóg się czepiającem.

Byli tu i mężczyźni, wymyści, czerwoni i spaleny słońcem, silnie na nogach osadzeni, z krzyżem wygiętym, z piersią zapadłą; starcy — pokurczeni, do ziemi się chyłacy, w czerwonych świtach, w łatanych koszulach. I wszędzie odzież za szeroka, świty olbrzymie, dokoła ciała wlewające jakiś brak ciała tam, gdzie go najwięcej być po-

winno, zanik członków, kształtów, znikczemnienie i karlenie się rasy. Tu i owdzie kilka posągowo pięknych twarzy kobiecych, kilka par oczu, czarnych jak węgle, w obramowaniu czarnych, jak smoła warkoczy. Lecz zaraz usta zwiędnięte, powieki rzęs pozbawione, skóra spalona i twarda... jakieś smutne pochylenie wyniosłej postaci, to coś, co zwiastuje zatracenie ostatków piękna i prawidłowych form ciała.

Pieśń, przez tłum śpiewana, wysoko w przestrzeni się wzbijała, gardlanem przeciąganiem w płacliwe zawodzenie przechodzącem. Chłopi szli, kołysząc się zwolna, głowami takt znacząc. Antoni pieśń tę od dziecka umiał, i nieraz ją w Turemnie, z tłumem się zmieszawszy, śpiewał. Każde słowo w duszy jego oddźwięk znajdowało. Lat już tyle, taką białą falę ludu, płynącą do dworu, widział, lat już tyle pszeniczne kłosy i żytnie kiście, na głowach dziewczek, w słońcu mu się złocily.

Wreszcie Olena i Opanasowa Hapka pod ganek podstały, wianki z głów zdejmując. Antoni od każdej wianek odebrał i na ławie złożył, wzmian dziewczkom po trzyrublowym papierku, owiniętym w pięć łokci purpurowej wstążki, podał.

Dziewczyny za dar podziękowały, za kolana panicza ujmując i wsunawszy wstążki w zanadrze, ze śmiechem i chichotem, w tłum się rzuciły.

Antoni z ganku zstąpił i wprost do Kandziuby, najstarszego wiekiem gospodarza, podeszedł, a ująwszy go pod ramię, do sadu wprowadził.

Za nimi rzucili się chłopci, krzaki łamiąc,

druzgocąc malwy, gniotąc bluszcz, rozrzucając dachówki, któremi klombiki obramowane były.

W sadzie Polikarp, stróże, pastuchy, dziewczki z piekarni, koło stołów się kręcili, jadło znosząc i na tarcicach kupami układając. Więc ogórki kwaszone ociekały z sosu, całe oblepione jeszcze koprem i bobkowemi liśćmi, gomółki bielily się tu i owdzie, z bochnami chleba pomieszane. Hreczuszki, świstuny, olbrzymie hreczane pierogi, nadziane kapustą i serem, kraszone skwarkami, w misach się rozkładały, a tu i owdzie banie z mlekiem w hładyszkach na ławach poustawiano. Całe kupy łyżek drewnianych, nowych, powiązanych sznurkami, leżały na brzegach, z obwarzankami, posypanemi anyżkiem, się mieszając. Blaszanek większe i mniejsze, napelnione wódką, stawiali pastuchy na stołach, łokciami sobie drogę wśród tłumu torując. W olbrzymich kotłach na trawnikach buchał białawą parą barszcz z boćwiny, w którym tu i owdzie mięso pływało.

Antoni pierwszą blaszankę ze stołu ujął i, w górę podnosząc, zawołał:

— Za wasze zdrowie!

Tłum głośnym krzykiem odpowiedział, a Kandziuba, z siwej głowy czapę zdejmując, blaszankę z rąk posesora przyjął i do beczki, koło której stał Polikarp, podeszedł.

— Natoczcie! — wyrzekł, blaszankę podstawiając.

Polikarp czop wyciągnął, kran otworzył i srebrna struga przecięła powietrze.

Do Kandziuby teraz Oponas, ojciec Hapki,

się podsunął, cały czerwony, gubiący się w fałdach olbrzymiej świty, i rękę po blaszankę wyciągnął.

Tymczasem tłum cały stał nieruchomy, zbity w jedną masę, a słońce kładło na białe płótna odzieży jasne, bogate plamy.

Dziewki, w kął zbite, kulakami gęby zatykały; mężczyźni stali z głowami podanemi naprzód, w postawie wyczekującej, w beczółki wpatrzeni. Pod jedną z lip, Ewa Dziubenska, starucha osiemdziesięcioletnia cała drżąca i tak blada, jak zapaska, którą sobie na plecy włożyła, osunęła się na ziemię, w trawie kucając. Kilka kobiet się ku niej pochyliło, o zdrowie pytając; stara bezzębne usta otworzyła, murmocąc coś z cicha, lecz głos jej w tłumie się gubił i tylko słychać było od czasu do czasu jej suchy i urywany kaszel.

Antoni po tłumie spojrział i żwawo się pomiędzy ławkami przeciskać zaczął. I, ująwszy za rękę kilka bab o siwych dolach, do jądła zachęcał, do mis ciągnąc. Wiedział, że początek w tych razach bywa najtrudniejszy. Chłop, raz do miski zasiadłszy, skórę milczka zrzuca i radości się oddaje. Powoli jednak tu i owdzie już blaszanki w rękach kobiet błyskać zaczęły. Mężczyźni trzymali się jeszcze ciągle opornie, z pod grzyw chmurno patrząc. Kobiety piły wódkę małymi haustami, rękoma się zasłaniając. Wreszcie to jedna, to druga zaczęła w rękę mężczyzn miarki wciskać i do gomólek i ogórków się dobierać. Antoni gorąco do jądła zachęcał, teraz, po-

między gromadą parobków stojąc i wódkę do nich przepijając.

Gdy się obejrzał, już ławy pozajmowane namitkami kobiet, bielily się. Mołodyce, poopierawszy łokcie na stołach, powoli pierogi z mis wyciągały, dzieciom je wtykając. Łyżki z klekotem rozwiązywano, parobcy sunęli ku dziewczkom, które kukurydzę gryzły, lub chrupały obwarzanki białemi, jak ser, zębami. Starczychy koło Polikarpa krążyły z pustemi blaszankami. On, spocony, kran coraz częściej odkręcał, na pieńku przysiadłszy.

Nagle zaszumiało od krochmalnych spódnic i z pośród drzew, gromada Niemców i Niemek ku stolom sunęła. Chłopi obejrzeni się z nienawiścią i skłębili, jakby przed napaścią wroga. Niemcy jednak szli spokojnie, stawiając wysoko nogi, obciążone niebieskimi welnianemi pończochami. Niektórzy byli ubrani wytworniej, przeważnie jednak wszyscy mieli kaftany beżowe lub płócienne i kamizelki w kwiaty. Kobiety chude, płaskie, w spódnicach bawelnianych, kaftanach barchanowych i chustkach, powiązanych pod szpiczastemi brodami. Szli wolno, nie mając nic wspólnego z tym białym tłumem chłopów, który stał lub siedział, cały zielonawym oblany blaskiem, płynącym przez delikatny sufit liści.

— Korczyńska kolonia!—rozszedł się szmer w tłumie chłopów.

I szybko do ław rzuciło się teraz wszystko, jakby chcąc intruzom odebrać kawalek deski, na którym spocząćby mogli. Z klekotem łyżki latały,

z rąk do rąk przerzucane, blaszanki silne odciski palców unosiły...

Antoni przybyszów dostrzegł i podążył ku nim.

Najstarszy wiekiem, Johann Schulz, czerwony, obrosły siwą szczecina, a silny w ramionach starzec, dość hardo posesora pozdrowił, na uprzejme jego zaproszenia odpowiadając:

— Wir werden nicht lange bleiben... ist weit nach Hause...

Antoni przygotowaną beczkę piwa i stos obwarzanków im wskazał. Usunęli się zaraz, pod pniami jabłoni się rozkładając. Beczkę wzięli pomiędzy siebie i pili w milczeniu, plecami do chłopów odwrócieni.

Tymczasem chłopci, podnieceni obecnością „kolonii”, rozgrzani pierwszemi blaszankami wódki, już coraz weselej bawić się zaczęli. Szarą kurtkę Antoniego widać było wszędzie, nawet koło Jewki Dziubenki, która drżącemi rękoma do wybladłych warg wódkę niosła.

Przykląkł przy niej, nie pozwalając, aby się podniosła i, na liściu łopuchu hreczuszka jej podając, pytał:

— A co wam, matko? chorzy?

Stara zastękała, spoglądając w twarz Antoniego bielmem zasnutemi oczyma.

— A... niezdużam, jaśnie panie.

— W domu było ostać!

— Sama jedna w sadybie? oj!... nie!

— Czemu?

— Strach mi!

W zapaskę tulić się zaczęła, fałdy płótna do siebie zgarniając.

Antoni powstał.

— Chorzy jesteście — chcecie, to wam zięcia zawołam?

— Mewtoda?... o! nie—nie!

Trwogą twarz jej zaszła. Niespokojnie poruszała się, bojąc się gniewu zięcia, który chciał ją koniecznie w Modziszczach zostawić i na „bal” wziąć się wzbraniał.

Niedaleko od starczychy siedział znów pod drzewem mężczyzna bosy, ubogo ubrany i smutny. Długa czarna broda spadała mu na piersi. Dwoje małych dzieci, palce w usta wetknawszy, stało obok przestępując z nogi na nogę. Podarte koszule odsłaniały żółtą chudość ich ciał anemicznych. Patrzyły na stoły, lykając ślinę, lecz zbliżyć się nie śmiały.

— Ulas—zapytał, nadchodząc Antoni—a co ty w kącie siedzisz, cur do ciebie przystąpił?

Ulas porwał się z miejsca i nie odpowiadał, palce w stawach wylamując.

— To idźże do stołu—jeść dzieciom daj—nie chcesz? czemu?

Ulas nic nie odpowiadał, oczy ku ziemi spuściwszy.

W kącie Horki mieszkał ten znachor czarnowłosy, mięsem kociem siebie i dzieci żywiąc. Krew zamawiał, od wścieklizny ziołami leczył, urok zdejmował, a za bosemi piętami jego całe armie szczurów ze śpichlerzów do rzek wędrowały. Mimo to, trzymał się zawsze na uboczu,

mając w swej pięknej o surowych rysach twarzy jakiś smutek nieklamany, tajemniczy. Czasem tylko z sosnami na rozdrożu wiódł rozhowory. Antoni, Hanke przywoławszy, znachora jej pod opiekę zdał i sam, grupę Niemców minawszy, na pierwszy taras się wdrapał i przed siebie spojrział.

U stóp jego, wśród masy zieleni, rozrzucony tłum cały ożywał się coraz więcej, rozsypując się i łącząc naprzemiany. Wyciągnięte pod linię łąwy, obsadzone gęsto ludźmi, zaznaczały się jasnymi kreskami na zieleni trawy. Szkarłatne zapaski, purpurowa serża, ostre kładły plamy na bladej ton dominującej barwy. Koło beczek tłok już był teraz, a wyrostki zaciągnęli w krzaki niedokończoną beczułkę, przy której leżąc, wódkę powoli sączyli. Jakiś gorący powiew przebiegł po nad głowami, a ostry zapach siwuchy mieszał się z wonią dziegciu i macierzanki.

Gwar setek głosów, razem zmieszanych, głosów ochrypłych od kurzu, wódki i nawoływania bydła unosił się w powietrzu. Pochylone nad stolami, czerwone, z dolami spadającymi na świty, cienko piszczwały baby, trącąc się ciągle blaszankami. Dziewki, zbite w masę jak owce, ogryzłszy kukurydzę, teraz kolbami na parobków rzucaly, chichocąc się radośnie. Olena i Opanasowa Hapka, dumne trzyrublówkami, które czuły w zanadrzu, rej wiodły, co chwila jak młode szczenięta zęby szczerząc. Polikarp z po za głów ludzkich Hanke śledził, cały wzburzony na widok Hrycia, opalonego jak cygan blondyna, który dziewczynę przyparł do pniaka jabłoni i w szyję łyżką lasko-

tał. Obok nich po drugiej stronie drzewa trzęsła się stara Jewka, gomółkę gwałtem sobie w usta pakując. Gromady dzieci do stołów z wraskiem się cisnęły, zlizując miód, którym posmarowano całe masy surowych ogórków. Cytra wśród tłumu błazniła, wreszcie, do nóg znachora przypadłszy, już przy nim pozostała, rozkładając się wygodnie na trawie. Pomiędzy drzewami pobrękiwała drumla, szalabajka i dzwonił bębenek. Dziewki, rozgrzane, czerwone, chustki z włosów zdejmowały, na gałęziach je wieszając. Tymczasem słońce powoli ku zachodowi ciągnęło, złoty swój blask w purpurę przemieniwszy. Chmury rozpały się, niby metal jasny, i wszystkie tęczywe przechodziły odcienia. Woda Styru ciemniała, złotymi iskrami gdzie niegdzie zapalona. Nad brzegiem dzieci, po brzuch w wodzie brnąc, z szumem tatarak rwały, aby z niego „duszę” wyciągnąć, zjeść, a potem na rozlupanej zieleni grać i zawodzić cienkim, piskliwym głosem.

Lecz już teraz chór głosów pomieszanych swobodnie pod drzewa płynął, coraz gorętszy, coraz pełniejszy i namiętniejszy. Siwucha, w żyłach chłopów krążąc, podniecała sztucznie ich dość leniwe i ciche usposobienie, powoli nienawiści budząc, urazy przypominając. Stojący na wzniesieniu Antoni uczył teraz jakiś prąd namiętny, płynący z dołu, jakieś gorące tchnienie setek piersi, oddychających przyśpieszonym tempem. Schylone grzbiety rozprostowywały się powoli, uparte głowy przechylały w tył, z ust wpół

otwartych płynęła woń wódki i tysiące bezładnych, na wiatr rzuconych, wyrazów.

Tylko grupa Niemców cicha i surowa siedziała wciąż naokoło beczki, okrażona sinawemi wstęgami fajczanego dymu. Nawet dzieci w błękitnych barchanowych majtkach siedziały sztywno, nogi na trawę wyciągając. Kobiety milczały, ręce na zapadłych brzuchach zaplotłszy.

Nagle zaturkotało przed dworkiem i Antoni szybko udał się na ganek. Spodziewał się tych odwiedzin, jednakowo co rok się powtarzających. To Brunon zjeżdżał na dożynki kosztem swego posesora wyprawiane. Zjeżdżał jako pan i właściciel majątku, niechętnie przez chłopów witany. Antoni prostem obejściem, szarą kurtkę i opaloną twarzą nie krępował ich, sam dziecko ekonomiczne, od niemowlęcia prawie pomiędzy nimi się blakając.

Pan graf był dla nich czemś niezrozumiałem, bez zewnętrznej formy i blasku dworskiego. Pan, nie pan, śmieszny, zły, zniechęcony...

To też, gdy wygramoliwszy się ze swej bryczuszki, skinieniem ręki Antoniego przywitał i do sadu się skierował, gromada „starszych”, pana ujrzawszy, dzwignęła się od stołów powoli, z marszem i skrzywieniem, a ustawivszy się w linię, czekała. Kobiety, z ławek się nie ruszając, na „niesamowitego grafa” patrzyły, zaprzestawszy jedynie oblizywać palce i ucierać rękawami usta. Dziewki chychotały z cicha, podniecane przez żarty parobków, którzy szeptali im w kołnierze koszul:

— Ot... projava!

Brunon jednak z godnością po trawie deptał, tu i owdzie uklony ręką przesyłając. Zdawało mu się, że nawet w chwili tańczenia poloneza z księżniczką Hohensteigen-Sigmaringen nie mógł mieć dystyngowańszego obejścia. Jedwabna w kratki pelerynka fruwała z szelestem dokoła, o krzaki zawadzając.

— Jak się macie! jak się macie, dobrzy ludzie! — wymówił wreszcie, do starszyny podchodząc — jedzcie! pijcie! bardzo proszę!... bardzo proszę!...

Na twarzach chłopów pojawił się ironiczny uśmiech, a dziewczki, aby nie wybuchnąć, całe zapaski w usta pakowały.

Brunon odwrócił się w stronę kobiet.

— A... panie gospodynie! — mówił, lornetką machając—a!... a!... witam.

Baby z ławek się dzwigały, głowy skłaniając.

Teraz graf koło dziewczek przechodził.

— Paniutki!... a!... ładne!... ładne!... któraż tam przodownica... ha?

Opanasowa Hapka, trochę już pijana, bez chustki, z kosą na ramiona rozpuszczoną, postąpiła, kłaniając się nisko. Olenka za dziewczki inne się kryła, za boki ze śmiechu się trzymając.

— A ja, jaśnie panie!

Graph na pochyloną przed nim dziewczkę spojrział. Kark miała silny, opalony, głowę dużą, ale dość kształtną, gęstym ciemnym włosem pokrytą. Zapach młodości bił od niej.

Zmarszczona twarz Brunona drgnęła na

chwilę. Rękę z lornetką do oczu przytknął i uśmiechał się, usta wykrzywiając...

— A... więc to panienka!... ha? a jakie imię!

Dziewka głowę podniosła. Cała masa śmiechu pod skórą jej drgała.

— Hapka!

— A Hapcia!... Hapcia!—powtórzył Brunon—panna Hapcia... tak, tak, Hapcia!

I, przypomniawszy sobie, że przodownica na podarek czeka, wykręcił się nagle tyłem i odszedł, pod górę do dworku się gramoląc.

Gdy znikł już na najwyższym wzniesieniu, wesołość wybuchnęła niepomiarkowanie. Śmiały się baby, rozkładając łokcie na stół i otwierając szeroko usta, śmieli się parobcy, bijąc się po udach i nogi w górę podnosząc, kucali na trawie dziewczki, a nawet starszyzna głowami kiwała, rozwesolone twarze w świtki kryjąc.

I ze zdwojoną radością rzucono się teraz do jadła i napitku. Wódka płynęła z trzech beczek, przy których Polikarp ustawił Hrycia i Mewtodia. Bębenek i szalamajka dzwoniły już coraz głośniej, a dziewczki niecierpliwie nogami trawę siekły, do „tropaka” się gotując. Z pomiędzy liści płynęły gorące, purpurowe blaski, ukośno pod pnie się ścieląc. Twarze chłopów, od wódki rozpalone, nabierały krwawych refleksów w tej lunie, z nieba potężną barwą sunącej. Żółte chustki dziewczek, na gałęziach poczepiane, miały także w sobie ogniowe blaski — miedź kotłów, blacha miarek, korale młodyc, paciorki i meda-

liki dziewcząt, wszystko mieniały w sobie migocące iskry.

Coraz częściej widać było niepewnym krokiem slaniające się postacie. Jeszcze niewielu było pijanych — wszyscy jednak prawie już mieli w „czubku”. Nawet dzieci małe chwiały się na cienkich, wykrzywionych nożynach, wódkę z tarcic źle heblowanych językami zlizując. Małe dzieci, w płachtach, u gałęzi jabłoni uwiązane, opiwszy się wódki, spały. Matki, coraz czerwieńsze, z namitkami przekręconemi na bakier, z koszulami na piersiach rozchylonemi—pożerały ogórki, pierogi, hreczuszki, bezustannie rozhowory wiodąc. Wśród ławek przechadzał się „starszyzna”, z łańcuchem i medalem na wierzchu koszuli. Trzeźwy był i głowę wysoko nosił, cały przejęty ważnością swego urzędu.

Lecz już Kandziuba, zupełnie pijany, z oczyma bielmem zasnutemi, do niego podchodził, blaszankę z wódką mu podając.

— Do was, panie starszyno!

Symeon Sycz chwilę z pożądlivością na siwuchę spoglądał, lecz chęć utrzymania się na stanowisku przemogła. Ręką blaszankę uchylił i, założywszy palce za pas, szedł dalej milczący, surowy, godności pełen.

Nagle podniósł się krzyk straszny.

Wyrostek Onufrego Bulby do kotła z barzczem podszedł i, nagą rękę we wrzącą zupełną wsadziwszy, mięsa kawał chwycił. Lecz wrzące jadło oparzyło go strasznie, tak, że z krzykiem przeraźliwym od kotła odskoczył i na twarz upadł.

W purpurowej ręce trzymał zaciśniętymi kurczowo palcami szmat mięsa i, tarzając się z bólu po ziemi, zdobyczy swej nie wypuszczał. Przemocą zaprowadzono go do piekarni, gdzie mu klucznica rękę oliwą smarować zaczęła.

Na drugim tarasie była niewielka polanka, zupełnie od pni wolna. Tam Polikarp ustawił muzykantów, klody im za siedzenie podając. Przeciągły, monotonny odgłos porwał dziewczki z miejsca. Rozczochrane, śmiejące się, ku polance się rzuciły, popychając się wzajemnie. Za nimi biegli parobcy, pasy czerwone na koszulach ściągając.

I za chwilę, w dwa rzędy ustawieni, siekli drobnusienko, naprzeciw siebie, tropaka, przysiadając, na biodrach się kołysząc. Dziewki tylko prosto, jak świece się trzymały, silnie rękoma złączone, z oczyma w ziemię spuszczone. Tańczyli i tańczyli bez przerwy, cali oblani krwawą łuną już zapadającego zupełnie słońca. W dali, nad łąką i z rzeki podnosiły się opary, białe, smukłe, pochylone.

Powoli łąką ku lasowi szedł teraz Ułas zgarbiony, do domu zmierzając. Przy nim dreptały dzieci, czepiając się jego parcianki, ze złotemi błyskami na płowych, drobnych główkach. Wreszcie, w białą mgłę wszedłszy, zniknęli wszyscy troje, jakby w tej mgle się rozplynęwszy...

Dokoła tańczących tworzyło się małe kółko widzów. Kandziuba tu przywędrował, poprzedzając beczulki z wódką, które Hryć i Mewtodi na polankę toczyli. Baby, ująwszy się pod boki, swa-

rzając się, godząc i całując, także suwały, zwabione brzęczeniem bębenka. Ta i owa, idąc, siekła drobno nogami, zręcznie się wykręcając. Starczychy wlokły się, oparte na kijach, uśmiechnięte, przypominając sobie jaśniejsze chwile swego gorzkiego życia. Po za wszystkimi, ślaniając się, potykając, jak trup nadnaturalną prowadzony siłą, wlekła się Ewa Dziubenska, zielona cała i jakby ziemią przysypana...

Do polanki się dostawszy, przypadła do starej lipy, rozciągającej szeroko swoje konary. Oparłszy się plecami o pień, ręce szeroko rozłożyła i siedziała tak, oddychając coraz ciężej, chrapiąc prawie — coraz bledsza, z sinemi cieniami dokoła ust i skroni.

Lecz nikt nie uważał na nią. Wszyscy wesele, podpici, pełni tej niezdrowej, smutnej wesołości, właściwej ludziom, ciągle nieszczęśliwym, zdawali się myśleć tylko o sobie, wykrzykując, rękoma machając, potracając się wzajemnie. Tu i owdzie wybuchały sprzeczki, pięści zaciśnięte dokoła twarzy latały, zwierzęcość brała górę, rozkładając panowanie swoje.

Na tarasie Niemcy, czując wzrok chłopców, nienawiścią drgający, na siebie zwrócony, wymykali się cichaczem, na dziedzińcu dworskim w grupy się łącząc. Poczem, gdy już się wszyscy zebrali, ku kolonii milcząc ciągnęli, opici piwem, z ociężałem pijactwem w oczach.

We dworku, przy zapalanej lampie i spuszczonej roletach, Brunon zapijał herbatę i objadał się kurczętami swego posesora. Antoni, nad

wyraz wszelki znużony i zdenerwowany, zdawał sprawę staremu skąpcowi ze słów Polikarpa, odkrywając szachrajstwa Cytryny i Szmula z Siemiatycz.

Brunon oczy mrużył, po peruce się uderzał, zrozpaczony, ohydny pod światłem jasno płonącej lampy.

— Jutro pojedę do miasta! — mówił, cukru sobie do herbaty nakładając.

— Przedewszystkiem fałszywy klejm złapać pan musisz,—odparł Antoni.—Cytryna może pana o fałszywe posądzenie oskarżyć.

Brunon nic nie odpowiedział, tylko jadł coraz łapczywiej, niemal kości kurcząt polykając.

Antoni wstał od stołu i podszedł do okna, a uchyliwszy rolety, w sad wyjrzał.

Zciemniało już prawie zupełnie. Na południu niebo na perłowym tle miało jeszcze fioletowoczerwoną chmurę, ku północy w jednostajnoczerwony ton się rozplývającą. Pozorna anarchia barw składała się na potężną harmonię kolorów i odcieni.

Księżyc bładny jeszcze i bezbarwny, z za lasów wypłynął i wisiał wysoko, jakby niezdecydowany i niepewny, w białawym kręgu jasnej plamy.

Od strony drugiego tarasu, krzyk chłopów rozlegał się teraz, jakiś dziki i coraz namiętniejszy. Bębenki były ze zdwojoną siłą. Łagodny rytm trepaka w brutalną przechodził farandolę. Z pomiędzy drzew błyskały światła powoli zapalanych smolnych pochodni, w błyskach tych mi-

gały białe koszule dziewczek i płótnianki parobków, w cienie dążących.

Antoni stał tak długą chwilę, o ramę okna oparty. Dzień dzisiejszy był dla niego ciężkim nad wyraz wszelki. Utrata przyjaźni Marty zarysowała mu się teraz z całą brutalną dokładnością w tej ciemni, przecinanej jaskrawym światłem palącej się smoly. Złączone pary chłopów, snujące się pod drzewami, rozkładały przed nim z bezczelnością zupełną swe żądze zwierzęce. Antoni w żyłach swych miał krew gorącą, miłością dla Trejny podnieconą, a przecież nigdy chyba nie uczuł tak zdrowego wdzięku chwil, w uroczysku spędzonych, jak tej nocy, pełnej gorących szepotów i prądów, zda się liście z gałęzi jabłoni strząsających.

Nagle pod oknami zamajaczyło coś w cieniu.

Jakaś czarna postać, smukła i giętka, pod murem się snuła, do okna zmierzając.

Antoni uczuł pchnięcie gorącego żelaza w piersi.

Pochylił się naprzód, ręce wyciągnął i szorstką dłoń Trejny uchwycił.

— To ty!—wyszeptał radośnie.

Zdawało mu się, że instynktem wiedziona, przyszła odegnać od niego smutek i zniechęcenie.

— To ty!—powtórzył z naciskiem.

Trejne wspięła się na podmurowaniu.

— Pan mi co da! — wyrzekła proszącym głosem.

Antoni przygryzł wargi.

— Nie mam nic dla ciebie, Trejne, dziś

przynajmniej; jutro pojedę do miasta, przywiozę ci jakiś drobiazg.

Chwilę uczuł chłód i wrażenie wielkiej pustki, lecz Trejne, uczepiona ramy okna, twarzączkę swą ku niemu podsuwała.

— Broszę... dać! — wyrzekła, dziwnie akcentując pierwszy wyraz.

Od pewnego czasu tombakowa broszka z niebieskim kamieniem była szczytem jej marzeń.

— Broszę — powtórzyła raz jeszcze, wdzięcznie głowę w tył przechylając. Czarne jej włosy, z tyłu głowy spadały, prawie kolan sięgając.

— Dam broszę, Trejne! — wyrzekł Antoni, powoli równowagę znów tracąc.

Przed nim, uczepiona na ramie, kołysała się wciąż Trejne, jakby w takt, coraz szybszym tempem dzwoniącej muzyki. Błada postać Maryi zacierala się powoila w umyśle mężczyzny; żydówka brała górę, doskonala w swej ponętnej, pełnej zmysłowych pokuszeń pozie.

— Trejne! — wyrzekł wreszcie stłumionym głosem Antoni — o, Trejne!

Słów mu brakło; wreszcie o czym miał mówić z tą lasów mieszkanką dziką, a mimo to swej potęgi świadomą!...

Ona kołysała się ciągle, zmrużonemi oczyma w twarz mężczyzny patrząc...

Tymczasem na dole wszyscy już prawie pijani z wściekłą zaciętością deptali trawę drżącymi i niepewnymi nogami. Ostry, namiętny głos bębienka i szalamajki rzucał drażniące tony, rozdzielające powietrze. Z palących się pochodni ka-

pała płonąca smoła, spadając na ziemię. W ciemnym gąszczu drzew od czasu do czasu padała na ziemię z bełkotem jakaś postać nieprzytomna, z pięściami zaciśniętymi, z twarzą krwią nabiegłą i pozostawała tak nieruchoma, nagłym snem zdjęta.

Nagle zrobił się ruch w gromadzie.

Ktoś, potknąwszy się o Jewkę Dziubenkę, poczuł pod rękoma chłód trupi. Przyniesiono pochodnię i sprawdzono, że staruszka nagle zmarła. Uwiadomiono o tem Mewtodia i Paraskę, zięcia i córkę zmarłej, lecz Paraska, nieprzytomna, dawno spała na brzegu polanki, głowę w trawę zarwywszy. Mewtod' splunął i cały rozplomieniony od wódki, ani się od beczki ruszył.

Pan Polikarp kazał wódki pilnować i nalewać; on przecież beczki zostawić nie może.

Bębenek bił już teraz ze zdwojoną wściekłością.

Zmieniono tempo, czeberyaczka wabić ku sobie zaczęła. I szybko, jakby jedną poruszeni myślą, chłopci rwąc gałęzie, gromadzili masę liście, któremi trupa okrywać zaczęli. Pod tą zieloną osłoną, w czerwonym, migocącym blasku pochodni, Jewa Dziubienka znikala cała ze swą twarzą straszną, nieruchomą, z oczyma w słup wlepionymi. I prędko urosła nad trupem wielka mogiła, na którą lipa, szemrząc, swe liście strząsała.

Teraz czeberyaczka zatoczyła swe kręgi naokoło polanki, ucieuszając chłopów i dziewczki w szalonym a ponurem tempie. Z blaszankami wódkii w rękach, oblani purpurą ognia, podskakiwali w górę mężczyźni, rozwiewając dokoła białe

plótno koszul. Dziewki, spętane w swych wązkich płatach, wiły się jak węże. W blaskach mięły białe zęby, półprzymknięte oczy i szmaty ciała gorącego pod płótnem koszul białych. Z piersi tańczących wydierał się krzyk, w jęk prawie przechodzący. Brutalna potęga wódki i zmysłów szalała dokoła. Jak wichur przelatowali teraz coraz szybciej, bez pamięci w przestrzeń pędząc...

I tylko, pod liśćmi ukryty, trup starczychy sztywniał, sam jeden, zimny i beznamiętny.

VI.

Jak ulewa deszczowa tak teraz spadały liście z drzew i po ziemi słały się z suchym chrzęstem. Żółte były z zielonawym ośrodkiem, a niektóre brązowe i jakby przez robactwo stoczone. Jesień nadciągała, zimna, ponura, bez promieni słońca, chyląc sterczące dokoła niemieckich domostw malwy, kwitnące szerokimi czarnymi i różowymi płatami. Gdzie niegdzie jeszcze pęk astrów liliowych, zmarzniętych, smutnych, tulił się do płotu, powiewając ściągniętymi w trąbkę listkami. Drzewa powoli czerniły się gałęziami ciemnymi, wilgotnymi, do góry sterczącymi. Drobne gałązki wichur łamał, na ziemię je rzucając. Szare, otłowiane barwy snuły się po powietrzu, od czasu do czasu zimny deszcz bił o szyby, siekł zwiędłe kolce bodjaków i pastwił się nad kępą zszarzałej macierzanki.

Pomimo jednak tego smutku, opadającego szarą płachtą na całą wolińską ziemię, na Styr ciemniejący wśród ogolonych z zieleni brzegów—Marya oddychała teraz pełną piersią, jakby uspokojona i znacznie weselsza. Miała ona bo-

wiem pod względem wpływu jesieni odmienną od innych kobiet naturę.

Na wiosnę płakała często, nagłym smutkiem zdjeta. Jesień witała spokojnie, odradzając się prawie w tej powodzi rozpaczliwej, która z góry płynęła, Właściwość to istot smutnych od kolebki, czujących własną nędzę, wobec złota i wesela natury. Szum spadających liści działa łagodniej, identyfikując się niejako z usposobieniem dziewczyny. Wobec nędz wszechświata, Marya czuła się jeszcze szczęśliwą. Oddychała, żyła... Wszystko dokoła niej się kładło do grobu, zamierało bez promieni słońca! Ona jedna deptała silną nogą ścielące się martwo pod jej stopy liście; bezlistne, wilgotne gałęzie lip po nad jej głową tworzyły całun z czarnej koronki—ona gałęziom tym przesyłała uśmiech, w którym drgała wiedza przekonania o własnej żywotności.

Po rozstaniu się z Antonim, ani na chwilę nie przemknął żal przez jej umysł dumny i nieugięty dziewiczy. Człowiek ten skałał gorącym tchnieniem żydówki czystość ich wzajemnego stosunku. Miłości Antoniego dla Trejny nie umiała sobie przedstawić inaczej, jak w brutalnem złączeniu dwojga istot, wykluczających wszelką duchową stronę podobnego stosunku.

Kilkakrotnie spotkała Trejnę, czy w lesie, czy na drodze, wiodącej do karczmy. Żydówka zmieniała się powoli, ubierając się starannie, choć zawsze brudno i nieschlujnie. Tylko teraz ciemno-czerwony jersey opinał jej piersi silnie pod tkaniną trykotu zarysowane, tylko spódnice,

z jakiejś taniej kolorowej wełny, snąć w domu w nocy zszywane, miały krzywo poprzyczepiane falbany lub kawalki ordynarnej koronki. Tombakowe broszki, kolczyki, świeciły się z daleka, bransoletka z paciorek ciemne i spalone ramię objęła. Tylko włosy, zawsze potargane, szerokim płaszczem na biodra spadały, tylko nogi małe, nerwowe, bose były i pokaleczone.

Dzika dziewczyna znieść obuwia nie mogła, pomimo usilnych prób, jakie czyniła w tym kierunku.

Marya szybko wymijała Trejnę, która ze swej strony na widok „panny ze dworu“ prostowała się, jakby czując zbliżenie się ukrytego nieprzyjaciela. Czasem oczy dwóch dziewczyn krzyżowały się przez chwilę i Marya doznawała jakby olśnienia pod wpływem gorącego spojrzenia Trejny.

Cały dzień później czuła gorąco przeszywające jej źrenice; niespokojna, wzburzona, milczała, zajmując się zwykłą codzienną pracą, której miała niemało. Gdy wróciła wieczorem do swego pokoiku, zacisznego kąta, który zdołała uczynić miłym i czystym przytulkiem dziewczęcym, nie kładła się spać, lecz, roztworzywszy okno, wpatrywała się długo w ciemnię, rozścielającą się dokoła dworu.

Maluchnem dzieckiem w kołysce utraciła oboje rodziców. Tułając się wśród obcych, zakosztowała doli sieroty. Oddawana z rąk do rąk, chwytła trochę wiedzy w przelocie, zgadując to, czego już schwycić nie mogła, polykając kartki

książek, porzuconych w szkolnym pokoju jej bogatych kuzynek. Utworzył się w jej głowie pewien chaos pochwytanych wiadomości, które napróżno ułożyć usiłowała. Probowala, lecz daremnie i pozostała już w tej masie nagromadzonej ukradkiem, czerpiąc, w razie potrzeby, w zasobach bezładnie poczynionych. Z walki ze swą sierocą egzystencją wyniosła silną wolę i wielką prawość charakteru, szlachetność nieskałaną. Nie była to wszakże istota z jednej sztuki ukuta, bez słabostek kobiecych i chwil zwątpienia. Przychodziły na nią często, lecz dumna, kryła się wtedy, jak zwierzę zranione, wstydząc się tych momentów, które bezwiednie ją ku ziemi chyliły.

Gdy wreszcie dostała się do domu Elżbiety, jako najbliższej swej krewnej i naturalnej opiekunki, chwyciła energiczną ręką ster domowej gospodarki, wyznaczając sobie w ten sposób stanowisko uczciwe wobec starej egoistki.

Wolała rankiem wczesnym wstawać, śpiesząc do obory i dopomagając Władysławowej, wolała po dniu znoju pełnym w towarzystwie wielkiego kundla Medora w nocy dwór cały obejść, skoble stajni, chlewu, przybudówki obejrzeć, do wrót dotrzeć, niż błąkać się, jak dawniej, z garderoby do niszy, nosząc na swych zgarbionych plecach przydomek „biednej kuzynki“, lub... „darmozjada“.

Zrodzona z rodziców starszych wiekiem i matki skrofulicznej, nie rozwinęła się zbyt cieleśnie, była jednak dość silna i zdrowa,

jeno blada zawsze, trochę anemiczna i przez to w rozwoju swym kobiecym leniwa.

Gdy stała tak przechyloną przez ramę okna, biała cała od chłodu, z koszulą grubą i w przyramkę ściągniętą dokoła chudych ramion, miała pozór jakiejś dziewicy-kapłanki, skazanej od dzieciństwa na brak wszelkich porywów gorących.

A przecież, pomimo tego wystygłego, choć młodego ciała, oczy jej, oczy duże, marzące, w dal wpatrzone, miały chwilami jakąś tęsknotę i pragnienia nieznanne.

Może to był odbłask płonących źrenic Trejny, który mącił jej zwykle spokojne i chłodne spojrzenie; może to ta burzliwa namiętność przyjaciela dla tej wpołnagiej, rozczochranej dziewczyny, kładła w jej oczy jakieś migotliwe błyski?

W każdym razie od chwili rozstania się z Antonim, Marya czuła, że coś w życiu jej się zmieniło, że na dnie jej serca coś porusza się bezustannie, rwąc jej spokojną egzystencję prawie na kawałki.

Dotąd jej troską najwyższą było postępowanie ciotki, która, jak Wandal, sama niszczyła własną ziemię, szarpiąc ją i obcym przybyszom w brutalne ręce oddając.

Troską jej serdeczną były te gromady Niemców, stające co chwila pod gankiem dworu, jakby wyrosłe z pod ziemi, ciągle napływające, łakome szmatu ziemi, na którą spadali z szumem i loskotem szarańczy.

Elżbieta w potwornym egoizmie swoim, lasy w pień wyciąwszy, resztę piasku rwać pozwoliła,

nie sięgając w przyszłość, cała uszczęśliwiona chwilowym zyskiem, który się jej korzystnie przedstawiał.

Majątki jej taki przedstawiały widok.

Dokoła lasów, jak gromady robactwa, koloniści niemieccy przeważnie i trochę Czechów, nędznych, chmurnych, za ziemią swą tęskniących. W lasach siekiery Szmula, Jankla i Cytryny grały rozpaczliwie, szumowi jęklivemu sosen urągając. Po wsiach, jako posesorowie—żydzi, rozkładający swoje bety w dworkach z gankami, na rozstajach przyczajeni koniokradzi, w karczmach całe bandy rodziny Szmula, rozpajającej rozzuchwalonych i drwiących ze dworu chłopów.

Maryja stan rzeczy cały doskonale obejmowała, cierpiąc srodze w miłości dla ziemi, którą kochała bałwochwalczo, oddychając aromatem jej ziół, deptając czarną, tłustą glebę, całą ozłoconą od ciężkich kłosów pszenicznych.

Nieraz długo w nocy, wpatrzona w migoczące światełko w zakratowanym okienku alkierza ciotki, z goryczą najwyższą myślała o dziwnych losu zrzędzeniach, dających w ręce egoistki całe błamy ziemi, przebogatej w skarby, po to, aby te skarby, na pieniądź stopione, znikwały bezpowrotnie, pozostawiając po sobie pustkę i cementarne opuszczenie.

Pies jakiś wyl po za drogą przeciągle, jękliwie. Deszcz zaczął padać powoli, z miękkim łoskotem o ziemię bijąc.

Maryja stała ciągle w oknie nieporuszona,

chłonąc w siebie wilgoć listopadowej nocy, czarnej, ponurej, melancholii pełnej.

Nagle koło dworu zamajaczyło coś tuż pod oknem alkierza Elżbiety. Maryja wyteżyła wzrok i słuch. Wyraźnie ciemna postać ślaniała się wzdłuż murów i kroki bosych nóg po rozmoczonej ziemi pluskały.

Dziewczyna, bez wahania przysunawszy krzesło, na okno weszła, a później ramę silnie ująwszy, na ziemię się opuściła. Stanąwszy na gruncie, ku ciemnej postaci podeszła, nie czując najmniejszej trwogi w spełnianiu obowiązku.

— Kto tu?—zapytała silnym głosem.

Ciemna postać nagle przykucnęła, poczem, w bok się rzuciwszy, szybko uciekać zaczęła.

Maryja pozostała na miejscu, usiłując cośkolwiek rozróżnić w cieniu. Zdawało się jej, że przez krótką chwilę w świetle, padającym z okienka alkierza, poznała żółtą głowę Orchima i jego wysokie pochylone ramiona.

— Medor! — zawołała, w stronę kuchni się zwracając.

— Medor! sa tu, do pani!

Z sieni kuchenki wylazł powoli stary kundel i po błocie kopać się zaczął. Szedł wolno, ze spuszczoneym łbem, cały zaspany i niechętny.

Maryja oczekiwała nań o mur oparta.

— Ksa! ksa! Medor!... szukaj złodzieja.

Lecz pies powoli ogonem zakręcił i stał nieruchomy, w czarną głębię wpatrzony.

Nazajutrz rano Marya zdała sprawę z nocnej swej przygody pani Elżbiecie.

Ta jednak wybuchnęła śmiechem.

— Dyabła zje ten, kto się do mnie dostanie! Kraty i kraty! Samego antychrysta się nie boję!

— Tem lepiej — odparła dziewczyna uspokojona.

Do obiadu przyszedli wszyscy.

Brakowało tylko Leontyny.

— A cóż się tak panienka spóźnia? — spytała z przekąsem Elżbieta — tualetę robi? powiedzcie jej, że niema do kogo; pan Brunon dziś do Waśniakowa na wyzerkę pojechał.

Bukowska z godnością głowę podniosła.

— Mademoiselle Leontine est malade! — wyrzekła, usta sznurując.

— Lat ma sześćdziesiąt z okładem — odparła Elżbieta, śmiejąc się ironicznie.

Bukowska ze złości drzeć zaczęła.

— Mówię, że panna Leontyna jest chora!

— A to mów pani po ludzku, nie jakimś zamorskim językiem, którego nikt nie rozumie...

— Każdy dobrze wychowany człowiek — zaczęła prawnuczka Wyhowskiej, lecz już Marya, wiedząc do czego podobna sprzeczka zmierza, szybko przerwała słowa rezydentki, oznajmując, że sama cicię Leosię odwiedzi i o stan zdrowia zapyta.

— A idźże, idź — odrzekła Elżbieta, oczy mrużąc — i zapytaj, czy melisy, czy pastylków

miętowych, czy komarowego sadła jejmościance potrzeba?

Pani Elżbieta w wybornym była dziś humorze.

Dopięła swego, wyrzuciwszy ostatecznie synową Jankła z karczemki; na jej miejsce wszakże nie zjawił się nikt, i długi czas pustką stał budynek wybitymi szybkami świecąc.

Od wczoraj wszakże zjawił się Szmul z nowym kontrahentem, bladym, wymokłym żydkiem, który ugodę podpisał, prawie milcząc, i wieczorem bety miał znosić.

Żydek ten był naturalnie podstawiony.

Synowa Jankła wprowadziła się tryumfalnie, dwie różowe pierzyny, Trejną i dwoje bachorów ze sobą prowadząc.

Liczone, że jesienią i zimą pani Elżbieta do pustki nie zajrzy i Jankiel upierał się bardzo, aby w lesie mieszkać, w Siemiatyckim lesie, którym wszystkie bandy koniokradów nocą przeciągały. Przytem z Orchimem miał teraz ciągłe konszachty; po ścieżynach włóczyli się obaj, szepcząc, oglądając się dokoła. Często Jankiel wybuchał gniewem, pięścią w stronę dworu grożąc. Zemstę jakąś knuł za sponiewieranie swych wnucząt, cały dyszący nienawiścią plemienną, od wieków dławioną. Orchim chychotał, od czasu do czasu słowo podrzucając.

Tymczasem wiatr jesienny z drzew liście obrywał, igły strząsał, szyszkami miótł.

Oni obaj, zasłuchani we własne słowa, szli ciągle ścieżynami wśród boru, obsypywani gradem żółtych płatów.

I liście im pod nogami szeleściły, i wiatr zimny twarzę siekł, a oni szli wciąż wśród tej pluty jesiennej, jakby gnani jakąś wspólną myślą, żyd i chłop, dwójka wiecznie zrosła i od lat tyłu do siebie przykuta!

Pani Elżbieta nie wiedziała jednak o srowadzeniu się synowej Jankla i tegoż z Orchimem tajemniczych naradach.

Wstała od rana wesółą i pełną sarkazmu. Gdy Marya z pokoju wychodziła, pani Elżbieta, rozparta w swoim fotelu, wyciągała na słówka panią Bukowską, całą zarumienioną w swej jedwabnej pelerynce.

Pomiędzy niemi, z głową spuszczoną, w poczuciu własnej bezsilności, siedział Bukowski, galki z razowego chleba w palcach gniotąc...

Już od drzwi, Marya smutnym wzrokiem ten obraz obrzuciła.

Deszcz w szyby bił, strugami po nich spływając. Ciemnawe, szare światło po pokoju się snuło, smutne i przytłumione.

Pani Elżbieta wzrok Maryi dostrzegła.

— Cóż tak się skrzywiłaś — zapytała — jak środa na piątek?

Dziewczyna nic nie odrzekła, tylko drzwi cicho przymknąwszy, gankiem i dziedzińcem ku oficynie pobiegła.

W maluchnym pokoiku, urządzonym z wzorową prawie czystością, w fotelu, obitym zniszczoną ceratą, siedziała Leontyna, owinięta olbrzymim tureckim szalem.

Niepewny zapach lewand i kamfory prze-

pełniał tę małą przestrzeń, wśród której stara panna lat tyle spędziła, więdnąc, jak kwiat bez słońca. Niewielkie łóżko, czyste, porządnie zastlane, dziewicze, surowe w swych białych pikowych osłonach, wyciągało się prostą linią pod ścianą, na której rozpinał się niewielki dywanik kanwowej roboty. Jakieś potworne róże majaczyły na czarnem tle, robionem pracowicie, uczciwie, w „jedną stronę“. Na dywaniku przypięte dwa obrazki święte, palma, różaniec i serce z różowej bibulki za szkłem, obwiedzione dokoła cierniową koroną. Pod drugą ścianą komódka, zastawiona drobiazgami, szkatuleczkami, neseserkami, flakonikami pustymi od perfum piżmowych i werwenowych. U okna firaneczki, zrobione z bąstystowej spódnicy, związane kawalkiem wypłowiałej, błękitnej mory.

Za otwarciem drzwi, ciotka Leosia, drzeмиąca lekko, poruszyła się niespojnie.

— Kto tam? — zapytała zmienionym głosem.

Marya weszła cicho i, zbliżywszy się do chorej, przy fotelu uklękała.

— To ja, cioteczko, przychodzę się dowiedzieć, czy ci czego nie trzeba?

Leontyna podniosła na nią zamglone oczy.

— Nic mi nie trzeba, serce, Maryniu, nic!

— Ale przecież... herbatę tu ci przyniosę!

— Dziękuję ci, to dla ciebie fatyga!

— Och! żadna; obowiązkiem moim jest usłużyć ci w chorobie. Siedzisz źle, niewygodnie; pozwól poduszkę ci pod krzyż podłożyć.

Powstała i, przeniosłszy poduszkę z łóżka, pod zgarbione plecy chorej podsunęła.

Wtedy dopiero dojrzała, iż na kolanach Leontyny spoczywa mała szkatuleczka otwarta i napelniona kawalkami żółtkłego, zapisanego papieru, wstążkami i zeszlami liśćmi.

Leontyna szybko szkatuleczkę zamknęła, zakrywszy ją szalem.

Marya usunęła się na bok, tajemnicę biednej staruszki szanując.

— Czy czujesz się gorzej, niż zwykle, cioteczko? — spytała.

— Trochę! — odparła Leontyna — ciężko mi jakoś oddychać, sił coraz mniej...

Urwała, w okno patrząc.

— To pewnie przez tę szkaradną jesień! — dodała.

— Tak! przez jesień! — jak echo powtórzyła Marya.

— Dawniej dla mnie pora roku była jedna — ciągnęła chora, jakby chcąc próbować siły głosu — dawniej, czy wiosna, czy jesień, panna Leosia przefruwała po prostu z dworku do oficyny, a nieboszczyk Szeniewiecki napatrzeć się nie mógł, jak byłam lekka i zwinna... Minęło wszystko!.. dziś... o!.. byle ulewa... już oddychać trudno!.. Wprost lży w oczach stają.

Marya znów przy fotelu przykłęka.

— Przejdzie ślota jesienna, nastaną mrozy, zdrowie ci wróci, ciotucho.

Leontyna głową potrząsała.

— Kiedy bo widzisz, serce, coraz mi jakoś

gorzej, z każdą jesienią ni oddechu, ni snu, ni chęci do jadła... — Cóż siostrunia? — dodała po chwili milczenia.

— Ciocia Elżbieta dziś w wyborzym humorze!

— O!...

— Ależ tak, tak; żartuje ciągle, aż pani Bukowskiej lży w oczach stają... Wyprawiła mnie nawet tutaj sama, aby ciocię o zdrowie spytać.

Leontyna uśmiechnęła się blado.

— Pocziwa — szepnęła.

W głosie jej nie było ani śladu ironii, lecz coś, co uderzyło po raz pierwszy Maryę ostrą nutą, drgającą tak cicho, jak echo tonu harmonijki szklanej.

— Ciotka Elżbieta — podjęła mimowoli, pościągnięta ciekawością — ciotka Elżbieta zapewne tu sama zajrzy, gdybyś nie miała wyjść przez dni kilka.

Lecz Leontyna głową pokręciła.

— Nie! — wyrzekła chrypliwie — nie! ona tu nie przyjdzie, Maryniu... od lat tylu noga jej nie postąpiła tutaj, na tym progu... Nie przyjdzie siostrunia, i... dobrze zrobi.

Kaszel przerwał jej mowę.

Zasłoniła usta szalem i jękliwie znów mówić zaczęła.

— Dobrze zrobi, nie przychodząc tu, do mego kąta, boć ona nie zrozumiałaby tego, co mnie z temi ścianami wiąże. Mogłaby śmiać się z mych gratów, tak, jak to dawniej robiła... ale teraz toby mi już to przenieść było zbyt ciężko.

Widzisz, serce... do ścian, do sprzętów przywiązać się można. Siostrunia tego nie rozumie. Ona nie rozumie miłości żadnej, żadnej...! nie wie, co to serce, co to uczucie, co to tęsknota... O, ona!...—Suche, spieczone ręce suchotnicy silnie pod szalem ścisnęły szkatuleczkę, pełną papierów i zwiędłych liści.

Marya słuchała w milczeniu skargi starej panny, całej zawiędłej w woni kamfory i lewandy. Znużenie dnia dżdżystego, mdły zapach piżma, wydzielającego się z fałdów szala, półzmrok, przyciemniający spręciki pokoju, blisko pół wieku na jednym miejscu stojące, osłabiająco oddziałał na młodą dziewczynę.

Głowę na kolanach ciotki oparłszy, wpatrzona w haft firanki, klęczała, czując jakby powiew jakiejś mglistej, niewyznanej tajemnicy, ulatującej w przestrzeni.

— Nie, nie kocha nikogo! — ciągnęła dalej Leontyna urywanym głosem — nie kochała nigdy! I dlatego w egoizmie swoim deptała serca drugich, życia łamała. O, siostrunia!... silna była i za nic jej było jakiej biedaczce, co przed nią tchnąć nie umiała, powiedzieć: milcz! milcz! tak chcę!... tak być musi! A tymczasem z życia zostały drzazgi, serce się na pal wbiło—i ot—Bóg jeden miłosierny, tylko lzy mógłby zliczyć, wylane w cichości. A, kochanie!... kochanie toć już na każdego paść musi, a taki siostrunia nie kochała nigdy!...

Marya żywo głowę podniosła.

— A ty, ciotciu?—spytała żywo.

Leontyna oczy ku ziemi spuściła.

— Ja?—odrzekła powoli—ja?...

Urwała, szkatulkę pod szalem ścisnęła i milczała znękana, przybita.

— Kochanie na każdego paść musi...

Marya mimowoli w myśli powtórzyła słowa suchotnicy.

— Przyjść musi na każdego? cóż znowu...

W chłód swój zakuta, w silną wolę zbrojna, czoło podniosła.

— Co mówisz, ciotciu? — spytała — czy bez miłości przejść przez życie nie można?

Leontyna głową potrząsała.

— Co chcesz, serce!... takie to już dopuszczenie Boże, w młodych sercach kochanie się budzi nagle i do życia woła. W młodości to jeszcze raj, ale jak się aż do starości serca uczepli, to wprost męczarnia!...

Marya patrzyła chmurno przed siebie.

— Skoro się nie chce, to można się tego wroga z serca wyzbyć—wyrzekła z mocą—ludzi słabych taka rzecz się nie czepia!

Leontyna wzruszyła ramionami.

— Nie wiesz, co pleciesz, serce, Maryniu. Żebyś ty siłę stu dusz miała w sobie, nie ustrzeżesz się i zobaczysz!... spadnie na ciebie ta plaga niespodzianie, jak burza, ot, jak ta ulewa, co tu po szybach płynie.

Lecz Marya wyprostowała się nagle, jakby wroga od siebie odpychając.

— Na mnie? na mnie — zawołała — nigdy!... przejdę przez życie spokojnie, nie znając takiego

nieszczęścia; boć nieszczęście to... nic więcej, dla każdego chyba człowieka!

Antoni zamajaczył jej nagle przed oczyma, Antoni smutny, blady i przybity, na uroczysku w Wołochowie u stóp jej klęczący, pełen jakiejś niemej, ciężkiej rozpacz.

Nagle do jej uszów doleciał odgłos dzwonek.

Ktoś jechał drogą po za płotem, dwór okalającym.

Nic w tem nie było dziwnego. Przejżdżali ciągle *parczyki*, od Kolei podróżnych wioząc.

Wszakże na odgłos tych dzwonek szarpnęło się nagle coś w piersi dziewczyny. Bez tchu, z bólem w sercu, klęczała zasluchana. Dzwonki brzęczały coraz wyraźniej i nagle turkot kół, plusk kopyt końskich w błocie brodzących, rozległ się na dziedzińcu.

Marya, pełna niewytłomaczonego niepokoju, powstała teraz, w okno patrząc.

Na fotelu poruszała się niespokojnie Leontyna.

— Pan Brunon?... zobacz, serce, czy to pan Brunon?

Marya do okna podstąpiła.

Na bryczce zwyczajnej żydowskiej siedział jakiś mężczyzna, gumowym płaszczem okryty. Konie zajeżdżały już przed ganek, bryzgając dokoła błotem i potrząsając łbami.

— Ktoś obcy! — wyrzekła zdławionym głosem, zdziwiona dźwiękiem własnej mowy.

Leontyna naciągnęła szal na plecy.

— Nie Brunon? — zapytała — obcy? Kto to być może? pewnie w interesie?

— Pójdę zobaczyć!

Marya wysunęła się z oficyjki i szybko drogę do dworu przebyła.

Wpadła na ganek, równocześnie prawie z podróżnym, który, z bryczki wysiadłszy, na ganek swój gumowy płaszcz otrząsał i kaptur z głowy ściągał. Marya, deszczem zmoczona, w swojej starej sukience wełnianej, stanęła nagle przed nim i, w oczy mu spojrzawszy, cofnęła się zdętwiała.

W szarem świetle jesiennego popołudnia ukazała się jej nagle najdoskonalej piękna głowa mężczyzny, wysuwająca się z szaro-srebrnych fałd okrycia. Brunet, o drobno przystrzyżonych kręconych włosach, z czołem wybornie zarysowanem, białem i jowiszową zmarszczką przeciętem, z nosami orlim, napoleońskim, o nozdrzach ruchomych, oczach szafirowych, wielkich, w seledyn się mieniących, ustach przepysnie wykrojonych, sarkastycznie uśmiechniętych z po za długich ciemno-blond wąsów osłony, miał w sobie najwyższą harmonię kształtów i rasowej, przepotężnej męskiej piękności.

Wyniosłą jego postać, ramiona szerokie, dobrze rozrośnięte, stan w miarę wcięty dumną linią biustu, cały ten przepych siły męskiej, rozwiniętej i dobrze odżywianej, dostrzedz można było pomimo fałdów płaszcza, który mu z ramion zwisał ku ziemi, tło wspaniale tworząc.

Przed nim, przygnieciona niejako jego wy-

niosłem, a mimo to pociągającym spojrzeniem, stała Marya nędzna, biedna w swej ubogiej sukni i dużym płóciennym fartuchu poplamionym lazurkiem. Stała, nie pojmując zupełnie, co się z nią działo wobec tego wspaniałego mężczyzny, który szybko harmonijnym głosem zapytał:

— Pani Szeniewiecka w domu?

I, nie czekając na odpowiedź dziewczyny, głową na bryczkę wskazał.

— Pod siedzeniem moja walizka. Niech ją wyjmie i drogę mi wskaże. Ty, czekaj!

Ostatnie słowa rzucił Paszycowi, który z koźła zlązłszy, koło szlei coś mruczając poprawiał...

Marysa stała nieruchomo, i tylko ciemne jej brwi ściągnęły się nagle gniewnie na ten rozkaz, wydany jej przez przybyłego, co do zniesienia walizki.

Brał ją za... sługę.

Czar prysnął, choć ból jakiś w sercu pozostał.

Lecz nieznamy niecierpliwł się widocznie.

— Cóż to! panna nie słyszy?... Walizkę proszę wziąć, bo zmoknie!

Marysa głowę podniosła.

— Zdejm ją pan sam z bryczki! — odparła urywanym głosem. — Ciotka służby nie trzyma... a więc z nas dwojga tego rodzaju posługa, o ile mi się zdaje, przez pana wypełniona być winna

Przybyły oczy podniósł i na mówiącą z zdziwieniem spojrzał.

Ona ze swej strony powiek już teraz nie spuszczała, rozdrażniona dziwnie, godności swej

broniąca, wobec tej brutalności pięknego mężczyzny, który tak nagle wśród fal deszczu i szarego światła jej się ukazał.

Przez chwilę krótką skrzyżowały się ich spojrzenia i szafirowe źrenice mężczyzny zatoczyły w szeroko rozwartych oczach dziewczyny.

Krótką to była chwila—lecz stanowcza.

Marysa uczuła znów szarpnięcie w piersiach, jakby jakaś część życia uszpiętego w tej chwili w niej się budziła.

I pod tem wrażeniem, dziewczyna porwała się nagle i do sieni wbiegła, lecz zamiast udać się do ciotki, zwróciła się na lewo i, trzasnąwszy drzwiami, w pokoju swym się zamknęła.

Tymczasem z sali Bukowski do sieni wyszedł i, ujrawszy gościa, szeroko ręce rozłożył.

— Staś!... jak Boga kocham, Staś!

— Witam, panie Bukowski, jakże się mamy!

— Dobrze, do stópek się ściele! A toż się pani Elżbieta zdziwi!

Do sali obaj wchodzili; przybyły płaszcz zrzucił, zupełnie korrekt ubrany, w „anglezie” długim, ciemno-granatowym, widocznie na stacy kolejącej ubranie podróżne zmienił.

Elżbieta na fotelu się uniosła.

— A toż znowu kto taki?—zapytała.

Lecz mężczyzna śmiało przez pokój sunął, uśmiechnięty, wesoly.

— Cioteczka mnie nie poznaje? — zapytał

rękę delikatną, nerwową i drobną wyciągając — Staś... Staś... czy się tak bardzo zmieniłem?

Przywitał się z uśmiechem, ku masie chustek głowę pochylając, cały pelen wykwintnej gracyi, woniejący muguet'em, z czarną perłą, lśniąca smutnym blaskiem na tle stalowo błękitnej krawatki.

Lecz pani Elżbieta za całą odpowiedź ku pani Bukowskiej się zwróciła.

— Moja madame Bukowska—wyrzekła—czy tu już trupem pachnie?

Stanisław oczy szeroko otworzył i w brudną twarz ciotki patrzył.

— Bo gdzie jest trup, tam się kruki zlatują. Krukiem zaś zwę wierzycieli i... spadkobierców—ciągnęła dalej Elżbieta powoli, podkreślając ostatnie słowa.

— O, cioteczko!... jakże możesz tak mówić!—protestował z wymuszonym uśmiechem siostrzeniec.

— Tak!... tak!... piękny kawalerze — do śmierci mi jeszcze daleko. Przyjechałeś zobaczyć, co się ze mną dzieje i czy jeszcze długo pociągnę! I oto co widzisz! Zdrową babę, jak rydz, która nieprędko do lali się wybierze. I po co, serce, było jeździć? ha?... Mankitosz moczyć, ta spodenki psuć? Lepiej było w domu siedzieć i w dyabełka grać, albo do żydów się modlić i weksle podpisywać. Taki szmat!... na Wołyń wybrał się!... w jesieni!... Aj, serce!... A toż tobie krzywda się stała!... no!...

Śmiała się uradowana serdecznie z zakło-

potanej miny siostrzeńca, który, na brzegu krzesła siedząc, rezon zupełnie stracił pod wpływem tych słów ironicznych, witających go na progu, jak prąd zimnej wody.

— I cóż, serce, Warszawiaku? rezon ty stracił? buzię zesnuował i trzech zliczyć nie umiesz, wobec pani ciotki, o której ty myślał, że już ją paraliż jał, ta że baba już głosu dobyć nie potrafi. A ot nie dość, że żyje, ale jeszcze na pohańbienie królewiaaków językiem miele i to nie-źle. Ha?

Stanisław rękawicę podjął.

— Gdybym myślał, że cię, ciotciu, nieżywą zastanę — odparł z uśmiechem—byłbym się w żałobę ubrał i wianek ci przedewszystkiem od Bardeta przywiózł.

— Wianek! ot-że myśl niezła. A z jakichże to kwiatów, serce? Z lili? z niezabudek, czy może z jaśminu?

— Z tęczyowych barw, jak tve sturublówki. Elżbieta w ręce klasnęła.

— Ślicznieby to było, serce siostrzeńcze. A trumnę jakąż ty by mi sprawił. Srebrną? ha?

Staś śmiał się teraz serdecznie, szczerze rozbawiony, dając folgę swemu dziecinnemu usposobieniu.

— Srebrną? o, nie! szkoda tyle srebra zakopywać w ziemi!

— Lepiej żydom sprzedać? ha?

— Naturalnie, tak, jak ty, ciotciu, z lasami robisz.

— Z lasami? A ty wiesz skąd?

— Ja wiem wszystko, co się Siemiatycz dotyczy.

Teraz już nie śmieli się oboje, bystro sobie w oczy patrząc. Stara kobieta i jej spadkobierca siedzieli naprzeciw siebie, jak dwoje drapieżnych zwierząt, na jedno gniazdo czyhających.

Walkę o byt czuć było między nimi, walkę milczącą, podjazdową, nienawiści pełną...

Nareszcie Stanisław powstał pierwszy i do Bukowskiego się zwrócił:

— Mój panie Bukowski, woźnicę gdzie ulokuj. Ja rannym pociągami odjadę. Chciałbym go mieć koło dworu.

Lecz Elżbieta uderzyła nagle w stół ręką.

— Nie chcę żadnych obcych w obrębie dworu — zawołała gniewnie — niech jedzie na folwark i w nocy po jaśnie pana zajędzie.

Bukowski wysunął się za drzwi.

Za chwilę odgłos dzwonek zwiastował odjazd woźnicy.

Wówczas Stanisław panią Bukowską, siedzącą w cieniu, dojrzał.

— Bon jour madame — wyrzekł grzecznie — vous allez bien? n'est-ce pas?

Bukowska wyprostowała się, jak struna.

— Pas trop bien, enfin, comme à mon âge! — odparła.

— Oh! votre âge, ne m'en parlez pas... — zaczął Stanisław, lecz przerwał mu gniewny głos ciotki.

— A cóż u dyabła starego? prababka Wy-

howska znów się kłania? czy nie umiecie mówić jak ludzie, tylko mi uszy rwiecie kuchenną francuzczyzną? ha?

Tryumfująco spojrzała dokoła.

— Aha! parle, parle i oto uciał im się rezon. Po francusku to łatwo bzdury pleść, ale po polsku to i Mazurowi nawet ciężko się wyjęzyczyć.

Lecz Staś już znów naprzeciw ciotki przysiadł.

— Tym Mazurem mam być ja? co? — zapytał.

— A któż? przecież nie ja! — odparła Elżbieta.

— Niby z jakiej daty? urodziłem się na Wołyniu.

— Z ojca Mazura.

— Z matki Wołynianki!...

— Ech! taka tam Wołynianka!

— Rodzona siostra cioci dobrodziejki.

— Wiem, ale dlatego się do Wołyniaków przyznajesz, że na moją sukcesję liczysz. Ale ja ci powiadam, że u mnie grosz za groszem goni i ledwo dwa końce z sobą złatać.

— Nie wierzę!

— Jak ci się podoba! Zresztą, spójrz... dokoła mnie bieda, aż skwierczy!

Stanisław obejrzał się po sali.

— No!... bieda jak bieda, ale brak gustu zupełny.

Elżbieta ramionami wzruszyła.

— Co mi tam po guście — mruknęła — gust jeść nie daje, gustu sprzedać nie można.

— Phi!... ale szyk!

— Cóż to znowu za dyabeł?

— Szyk?

— No, tak?

— Szyk... to elegancja, komfort, jednym słowem szyk.

— A mnie ki dyabeł po takim czorcie. Szyk!... słyszysz Bukowski?... szyk!... szyk!...

Śmiała się nerwowo, palcami po stole bębniąc.

— Ty i twój ojciec na dziady wyszliście ze swoim szykiem! Teraz ty w piętękę gonisz i sukcesyę przewąchiwać jeździsz! Ot co!... Szyk... szyk!... co za wyraz... Muszę Szmula zapytać, czy on kiedy takie paskudne słowo słyszał. Zobaczycie że nie!

Powstała z fotelu, cała zgorączkowana widokiem tego chłopca, który, jako prawny sukcesor, śmierć jej nieodzowną przypominał.

Stanisław zerwał się także i stał tak przed nią, wyprostowany, elegancki, doskonale piękny prawdziwie męską pięknnością.

— Na tęgiego draba wyrosłeś, serce — zaczęła znów Elżbieta — plecy masz szerokie, do młocki w sam raz. Tylko, że w łapciach musi być krucho, bo to nocki nieprzespane zawsze dają się we znaki... Hm... piękna lala, ani słowa, choć pod klosz postawić, a pachnie to, ni czeremchą, ni „smorodynią”... ot! dyabli wiedzą czem! Bukosiu!... ty na salonach wychowana, to wszyst-

kie te odory musisz na pamięć umieć. Czem to kawaler ma przepojoną odzież? Powąchaj, serce, i powiedz!

Lecz pani Bukowska powstała, poważna i majestatyczna.

— Excusez! — wyrzekła, głową uprzejmie Stanisławowi skinąwszy.

I, pociągając mantylkę, nie spojrzawszy nawet na Elżbietę, pokój opuściła. Lecz Szeniewieckiej dziś nic nie mogło wyprowadzić z jej wesołości gorączkowej. Śmiała się, opierając ręce na stole. Dokoła niej trzęsły się tylko łachmany flaneli.

— Kiuze? Kiuze? — powtarzała — ty pewnie, sercu memu miły sukcesorze, rozumiał, co to znaczy? Ja bo nie uczona takich parle franse. Z młodości to tam jeszcze, póki matka w kark biła, znało się wokabuły, ale jak później przyszło biedę z biedą latać i w nędzy żyć, to i uczoneść z głowy wywietrzała!

Stanisław nie odpowiedział nic, po ścianach się tylko rozglądał. Elżbieta, wzrok jego przyłapawszy, znów mówić zaczęła:

— Szukasz ty klejnotów i bogactw, duszeńko najmiłsza? nic ty u mnie z tego nie znajdziesz, tak po środku izby z kapelusikiem w ręku stojąc. Ci, co ci mówili: jedź, odwiedź starą Szeniewiecką, bo baba na pieniądzech siedzi, źle ci doradzili. Ja, duszko, biedna, ot, jak żebrak, i choćby ty siadłszy płakał, to grosika odemnie nie wyciągniesz... Ani grosika.

Stanisław się uśmiechnął.

— Możesz być spokojną, ciociu — wyrzekł dobitnie — grosza od ciebie złamanego nie pragnę!...

— Ale niezłamany tobyś ty wziął?

— Nie, bo teraz mi nic nie potrzeba!

— Ale później? później?

— A!... później to się przyda!

— Po mojej śmierci?

— Naturalnie, po twojej śmierci.

Znów się oczyma zmierz yli, jakby do głębi duszy sobie patrząc. Szafirowe przepyszne źrenice mężczyzny, przyćmione cieniem melancholii, i zielone, niepewne źrenice staruszki z niepoko- jem wroga śledzące.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas którego sły chać było plusk deszczu.

— A... gdybym cię też wydziedziczyła?— za- pytała nagle Elżbieta, usuwając się w fałdy swej flaneli.

— To rozpocząłbym proces o uniewa- żnienie testamentu — brzmiała ironiczna odpo- wiedź.

— Jak zechcę, to i zrobię!

— Dlaczego nie!... „wolno Panu jako Panu, robić nawet cukier z chrzanu.”

— Bukowskiemu wszystko zapiszę!

— Wolna wola!

W kącie stojący Bukowski na całym cielem ze wzruszenia drzeć począł. Elżbieta to dostrze- gła i teraz się do starca zwróciła:

— Asan się nie trzęś z uciechy, bo nic nie dostaniesz! lepiej idź i Maryę tu przyslij!...

Bukowski cicho wysunął się za drzwi.

— Jadł ty?—zapytała Elżbieta siostrzeńca.

— Nie; czasu nie miałem, na foksalu ledwie przebrać się zdążyłem!

Elżbieta ręce rozłożyła.

— To szkoda, siostrzeńcze najmilszy! u nas jedzenie, jak zegarek. Obiad się już skończył, do wieczery czekać trzeba.

— Poczekam!

— Ślicznie, to czekaj!

Ku alkierzowi się zwróciła.

— Ja do siebie wracam, na drzemkę; ty rób, co chcesz. Z Bukowskim idź ołtarzyki klej... albo muchy po kątach budź! Jak Marya przyjdzie, to ona cię tam gdzie ulokuje, tylko nie tu... w tym pokoju... o!... nie tu!...

Stanisław, rozbawiony, za nią postąpił.

— Dlaczego nie tu?

Elżbieta, już przy alkierzu, plecami się o drzwi oparła.

— Bo...

Słów jej zabrakło, palce zagięły się ner- wowo.

— Bo... nie chcę!

Ostatnie słowa rzuciła jakby w charczeniu, i, szybko drzwi otworzywszy, w alkierzu znikła, silnie rygiel zasuwając.

Stanisław postął chwilkę na miejscu, wpa- trzony w szklane okienko, zieleniejące we drzwiach alkierza.

Teraz, gdy pozostał sam, uśmiech znikł z jego ust i twarz cała przybrała maskę smutku

i znużenia. Kąciki ust opadły w niesmacznym skrzywieniu, oczy przygasły, jakąś silną, wewnętrzną troską przyćmione; osunął się na krzesło, głowę oparł na poręcz, i pozostał tak, pogrążony w zadumie.

Zapewne nie liczył wcale na pomoc jednorazową ze strony ciotki, jakkolwiek w jego obecnym, ciężkim położeniu, wobec lichwiarzów, przepelniających przedpokój wykwinnego mieszkania, podobna pomoc byłaby nie do odrzucenia. Lecz, gnany instynktem, przyjechał odwiedzić prosto bogatą krewną, a uczynić zadość konwenansom, aby wreszcie mózdz rzucić niecierpliwyszemu wierzytelom:

— Jadę do ciotki... Wracam od ciotki.

Przyjechał w słotę jesienną, korzystając z kilku dni swobody wśród powodzi światowych zajęć i obowiązków. Przyjechał, ubrany correct, woniejący muguet'em, zbrojny w garnitur szczołek i odwagę na spotkanie się z dzikim zwierzem w Siemiatyczach, na pieniądzech leżącym...

Zwierz ten przyjął go niechętnie, natrząsając się z niego, ośmieszając, wreszcie głodząc.

Stanisław uczuł całą śmieszność swego położenia.

Był pozostawiony sam w tej pustej, brudnej sali, a w dodatku... głodny.

O kilka kroków od niego, w alkierzyku zaroglowanym, śmiała się zapewne w tej chwili ciotka, śmiała się, z niego! z niezwykłego salonowca, z bożyszczka upudrowanych, dekolto-

wanych kobiet, z tego „Stania”, bohatera Sznitzel-jagdów, który jak strzalał mknął wśród drzew na swym folblucie, doskonały, nieposzlakowany w swym ciemnym rajfraku.

Stanio uczuł się dziwnie znużonym, smutnym i zniechęconym.

Ten wielki, pusty pokój wydał się jego wrażliwej naturze, jak wielki pobielany grobowiec...

Rozpieszczony próżniak wielkomiejski przeżił się nagle pustki wołyńskiej, pustki jesiennej, w której wiatr jęczy i deszcz po szybach bije...

Znużenie go ogarnęło, noc bowiem całą spędził w wagonie bezsennie.

Długo z chętką snu walczył, wreszcie, oparty o poręcz krzesła, głodny, zmęczony, oczy przytknął i zasnął, zasłuchany w miarowy plusk deszczu, z dachów płynącego.

Tymczasem Bukowski napróżno Maryi po całym domu szukał.

Zniknęła nagle, pozostawiając swój pokój otwartym.

Władysława objaśniła go wreszcie, iż widziała panienkę, idącą drogą ku kolei razem z jakimś kolonistą niemieckim. Po co? klucznica nie wiedziała i odgadnąć nie mogła.

Rzecz się jednak tak miała.

Z okna swego pokoju dojrzała Marya całą gromadę zziębniętych i przemokłych ludzi, pod płotem dworu się tulących. Wzburzona całą przyjazdem Stanisława, jego pogardliwym względem

niej obejściem, drżąc na myśl ponownego spotkania się z tym wymuskany mężczyzną, który ją przyginiął swą urodą i zbytkiem, chwyciła się Marya środka ucieczki, choćby chwilowej z domu, który z powodu pobytu nieznanego stał się dla niej prosto niemożliwym.

Zbiegła szybko ze swego pokoju i, dziedzińcem pędem strzały przebywszy, ku gromadzie ludzi pod płótnem moknących się zwróciła.

Zapał jej ostygł jednakże, gdy niebieskie pończochy i płowe głowy Niemców dostrzegła.

— Was wünschen Sie?—zapytała, o plot się opierając.

— O! gnädiges Fraülein!—przez zęby wycedził mężczyzna—wir haben ein Kind verloren.

— Wie denn?

— W drodze — odparł kolonista po niemiecku — w drodze, od kolei szliśmy wszyscy, ja, moja żona i czternaścioro naszych dzieci. Tu, pod kuchnią, osuszyliśmy się trochę, wywiedzieli, gdzie nasi i żona wyjęła czternaście precli, aby je dzieciom rozdać...

— I cóż?

— Jeden precel został się nam.

Błada, płaska Niemka z pod chustki głowę wysunęła.

— Wtedy poznaliśmy, że nam brakuje jednego dziecka—dokończyła, ręce łamiąc.

Marya energicznie przez płót przelazła.

— Chodźmy szukać!—wyrzekła, brnąc w błocie—lecz ja i pan tylko. Matka z dziećmi niech

do kuchni idzie, bo znów po drodze którekolwiek dziecko zgubi, precli pewnie już nie macie!

Wynędniała twarz Niemki przeciągnęła się jeszcze bardziej.

— A zkad ich wziąć? — mruknęła kobieta, dzieci w kupę zgarniając i do kuchni kierując.

Tymczasem Marya i Niemiec szli gościncem, od kolei wiodącym, a słupami telegraficznymi oznaczonym. Wśród szarej powodzi błota bieleły się kamienie przydrożne, czarnem kółkiem poznaczone. Na prawo i na lewo pole szare, czarne, smutne się stało, pokryte korzeniami zeschniętymi, płaczącymi się tu i owdzie. Na lewo majaczył wał lasu, przybierający teraz różnokolorowe cienie.

Deszcz teraz siekł drobno, gnany od czasu do czasu w tę i ową stronę. Suknia Maryi, na wskroś zmoczona, do ciała przyległa, kroki jej krępując. Dziewczyna szła, oddychając ciężko, z rozkoszą dom za sobą zostawiwszy, dom, w którym przebywał teraz człowiek obcy, nagle spokój jej zakłócający.

Obok niej Niemiec postępował zwolna ciężkimi krokami wodę dookoła rozbryzgując.

Szli tak długą chwilę, mijając całe kupy drobnych kamieni, nagromadzonych wzdłuż rowów.

Dziecka wszakże nigdzie widać nie było.

— Niebardzo dbacie o dzieci!—odezwiała się wreszcie Marya, napróżno wzrok na zwiady wysyłając.

Niemiec wykrzywił się dziwacznie.

— Ha!... jest ich tyle, co robić?... Wresz-

cie—dodał z flegmą—to nie nasza wina. Deszcz leje, jak z rynny, ani się nawet dopatrzyć liczby nie można. Przeklęty klimat, przeklęty kraj!...

Marya stanęła teraz, cała z zimna i wewnętrznej gorączki drżąca.

— Więc pociście tu przyszli? — zawołała groźnie — poco nam ziemię zalewacie, kiedy tu klimat przeklęty i kraj także?

Niemiec jeszcze więcej usta wykrzywił.

— My tu nie na zawsze, wiekować nie będziemy. Ot, przyszliśmy za innymi, co tu od lat ciągną. Zrobimy, co się zrobić da, i pójdziemy dalej, ot tam!

Ręką ukazywał majaczącą w dżdżu przetrzeń niezmierną, cały szmat Wołynia, niepewno w wilgoci się zarysowującą.

— A potem! — dodał uśmiechnięty — ziemia niezła, czarna, tłusta, zwłaszcza od wierzchu, później piasek, ale!... co nas to obchodzi!

Marya chciała mu odpowiedzieć, gdy nagle z kupy kamieni podniosło się małe chłopię w barchanowych niebieskich majtkach, trzymające w drobnych rękach kilka ciemnych kamieni.

— Vater!

Niemiec stanął, zaklął, splunął i, chłopca za ucho schwyciwszy, ku sobie przyciągnął.

— Unverschämter Kerl! — mruknął, poczem, odwróciwszy się, znów ku dworowi iść począł.

Za nim dreptało dziecko bose, biedne, wynędzniale napozór, a przecież dziwnie wytrwałe, mające w swych wątych piersiach żelazne jakieś życie; rzucone na ciągłą wędrówkę po obcej

ziemi i czepiające się też tej ziemi z rozpacziwą jakąś energią, w krwi bladej początek biorącą.

Marya szła teraz za nimi wolno, wpatrzona w bose nogi dziecka, rozpryskujące błoto za każdym stąpieniem. Te drobne nożyny tłoczyły ziemię z taką siłą brutalną, podbójczą, będąc po prostu odbiciem kroków ojca, sunącego przodem.

Dziecko było aryergardą tej podbójczej armii, mówiącej z ironicznym uśmiechem:

— Zrobimy, co się zrobić da... i pójdziemy dalej. Ot, tam!

— Ot, tam!

Tymczasem Bukowski powrócił do salki jadalnej i, drzemiącego na krześle Stasia zoczywszy, ciężko się zafrasował.

Gościnnie nigdy w swym domu, do zbytku odczuł ciężkie położenie gościa, przyjętego w tak dziwny sposób przez ciotkę Elżbietę.

Gdzież jednak umieścić wykwintnego panicza? Wszędzie wieje wiatr przez wytluczone szyby dach przecieka, wreszcie niema uczciwego krzesła, na którymby spocząć można. W oficynie dwa tylko możliwe pokoiki: chorej Leosi i ich sypialnia, do której przecież gościa wprowadzić nie mogą.

Nagle Bukowski uderzył się w czoło.

Pozostaje pokój Maryi. Tak! tak! tam trzeba zaprowadzić Stasia; dziewczyna pomieści się gdziekolwiek.

I z usługną miną zbliżył się do przyszłego, spadkobiercy, a, zbudziwszy go, do pokoju Maryi wprowadził.

Właśnie uradowany, z opowieścią o instalacji gościa do cioci Leosi śpieszył, gdy na ganek weszła Marya, zmoczona i drżąca. Szybko skierowała się do swego pokoju, pragnąc udać chorą i w nim na resztę dnia się zamknąć. Drzwi zamknięte, za naciśnięciem klamki otworzyły się i Marya cofnęła się, przerażona niespodziewanym widokiem.

Na wąskiej kanapce, obitej ceratą, a stojącej pod oknem, leżał teraz Stasio, śpiący na dobre, okryty swym podróżnym pledem. Szarawobiałe światło płynęło z okna na jego twarz, zwróconą ku górze, i oświetlało dokładnie przepyszne rysy tej twarzy smutnej i znękanej. Ciemne podkowy zarysowały się pod oczami, skóra na czole mocno ściągnięta zapadała na skroniach w zielonawe cienie. Zmęczony był życiem i przedwcześnie wyczerpany. Spał niespokojnie, nerwowo, i krople poty perliły się na czole wzdłuż ciemnobłękitnych żyłek, przecinających białą skórę. Głowę miał wspartą na poduszce, zdjętej z łóżka Maryi, i czarne, kręcone włosy ostro odcinały się na białym tle perkalu. W powietrzu unosiła się woń wody kolońskiej, której otwarta flaszka stała na stoliku. Neseser podróżny lśnił się od srebrnych pokrywek i kryształowych flakonów. Na poręczy krzesła wisiał ręcznik, oznaczony koroną hrabiowską.

Marya stała krótką chwilę nieporuszona, z oddechem w piersiach zapartym, zapatrzona w tę piękną głowę, tuż pod oknem na tle białym złożoną.

Dziewczyna westchnęła głęboko i, drzwi cicho przymknęła, a, do sieni się wysunawszy, o ścianę się oparła, ginąc w cieniu, zalegającym przestrzeń.

Teraz, oczy przymknawszy, chłonęła w siebie obraz przed chwilą ujrzany, który z nieprzepartą dokładnością wyryl się w jej umyśle.

Ten wykwintny człowiek, biorący ją za służącą, spoczywał teraz w jej ubogim pokoiku, na jej skromnej sofce, którą tak ciężko a usilnie polataną ceratą obila, kalecząc sobie palce. Chciała się przed nim schronić, nie widzieć go wcale, a znalazła go u siebie, wśród ścian jedynego kącika, który należał do niej bezpodzielnie, niezaprzeczenie.

Kto go tam wprowadził? Kto ośmielił się pozwolić mu przestąpić próg jej dziewiczego schronienia, w którym nikt, oprócz niej, nie przebywał do tej chwili?...

Kto?...

O! czemuż poszła w ten deszcz i flagę szukać małego kolonisty! Byłaby stanęła na progu swego pokoju i, dumna, zabroniła wejścia temu człowiekowi, który, traktując ją jak służącą, rozkazy jej wydawać się ośmielił!

I, wzburzona cała, podniecona, nagłym gniewem zdjęta, porwała się za głowę rozpaczliwie, sama nie pojmując tego, co się z nią działo.

Siostrzeniec to był Elżbiety, mówił „ciocia”, pytając o panią domu; siostrzeniec, więc jej krewny, jeden z tych, którzy w dzieciństwie poniewierali nią w ścianach kamiennych nursery, wśród

zabawek, do których dotknąć się jej nie było wolno.

I tu jeszcze, w tym kącie zapadłym, na skraju świata, przyjechał nagle jeden z nich, aby, obelgę w twarz jej cisnąwszy, z własnego jej pokoju ją wygnać i nagle w szarem świetle piękną twarzą na tle białem błysnąć!...

I znów mężka piękność Stania wróciła przed oczy dziewczyny.

Jak długo tak stała, nie wiedziała nigdy, pograżona w cieniu, zdziwiona otwierającemi się drzwiami swego pokoju, z którego już światło nie płynęło.

Musiało być późno; gość z pokoiku dziewczyny wyszedł i po sieni błędził, drzwi do sali znaleźć nie mogąc. Marya stała cicho koło ściany, z sercem drżącym, z nieznanym jej przedtem dziwnym niepokojem.

Nagle uczuła dotknięcie męskiej dłoni na swem ramieniu.

Stanio szybko się odsunął, pytając:

— Kto tu?

Marya chciała odpowiedzieć, słów jednak jej brakło w zaschniętem gardle.

— Ktokolwiek bądź, proszę drzwi mi do sali wskazać, proszę o to bardzo!

Głos mężczyzny był słaby i urywany.

Marya wreszcie odzyskała moc panowania nad sobą.

— Proszę pana za mną!

— Nie widzę!

— Oto... moja ręka!

Przez chwilę dłonie ich złączyły się wśród ciemności, zalegających sionkę.

Zapach konwalii odurzająco działał na dziewczynę. Doprowadziła jednak do drzwi mężczyznę i, wpuszczając go do sali, wyrzekła:

— Jesteś pan na miejscu!

Lecz on dłoni jej nie puszczał, jakby podpory szukając.

— Co panu?

— Nie wiem... słabo mi... siły mnie opuszczają!

— Usiądź pan!

Podsunięła mu krzesło; słabe, czarną krepą przyćmione światło włóczyło się po kątach, nie mogła dojrzeć twarzy mężczyzny, która bladła, jak płótno.

— Co panu jest?—powtórzyła nachylona.

— Nic... sądzę jednak... że to głód! nic innego!... C'est drôle... j'ai faim!...

Chustką po ustach przesunął.

— Przybyłem już po obiedzie... spóźniłem się.

Próbował się uśmiechnąć, spazm mu usta wykrzywił.

Marya stała z rękami opuszczonemi, nie wiedząc co odpowiedzieć. Cóż mu dać jeść mogła, temu wykwintnemu paniczowi, całemu przesiąkniętemu wonią wybornych perfum?

— Zjadłbym cokolwiek, o!... kawałek chleba!... odjeżdżam dziś w nocy! Ciocia gości nie lubi.

— Zaczekaj pan, przyniosę panu cokolwiek.

Wybiegła cała zgorączkowana, z chęcią jak-

najlepszego usłużenia człowiekowi, którego nienawdziła przed chwilą.

Gdy powróciła, na tacce niewielkiej niosła trochę masła, ser, kawałek chleba, ogórek, sól, flaszkę wódki i zapaloną świecę.

— Wszystko, co panu zaofiarować mogę — wyrzekła z zakłopotaniem, stawiając tackę przed pobladłym z głodu mężczyzną.

Usunęła się w cień, tracąc nagle wraz ze światłem na chwilę odzyskaną śmiałość. Jej biedna, zmoczona sukienka, czerwone, popękane ręce, sprawiały jej wstyd i dawały poczucie niedostatku i nędzy.

Tymczasem Stasio do jedzenia się rzucił, śmiejąc się do czarnego chleba, którego skibki w soli maczał i po wódce zajadał.

— To nie jest złe! — wymówił, do ogórka się dobierając.

Dziewczyna milczała ciągle, zażenowana, z oczyma w ziemię spuszczone. Chciała odejść, lecz sił jej brakło, ot prosto, jakby wrosła w ziemię.

Teraz już mężczyzna, pierwszy głód zaspokoniejszy, ciekawem okiem na dziewczynę spojrział.

— Zdaje się... że winien jestem pani usprawiedliwienie. Na ganku, zmoczony deszczem... oślepiiony jesienną wichurą, nie dojrzałem i...

Dokończyć nie mógł, Marya bowiem prze-rwała nagle z goryczą.

— O! nic nie szkodzi. Dojrzałeś pan dobrze, wziąłeś mnie ze służącą. Chodzę tak źle ubrana, przytem...

Umilkła na chwilę, poczem dodała z wysiłkiem.

— Zresztą... ja jestem do tego przyzwyczajona!

Teraz poznała go dobrze.

Tak! nieraz, dzieckiem będąc, widziała go zdaleka u bogatych swych krewnych, jak w ślicznie skrojonej marynarce, przyprawiony przez gubernera, bawił się cicho i spokojnie z kuzynami w pokoju „chłopców” pod dozorem Anglika. Był już wtedy chłodny, wyniosły, spokojny, pełen ironii i lodowatego sarkazmu. Czuł swą piękność i obnosił ją z dumą pięknej lalki.

On jej poznać nie mógł, bo nigdy na nią nie zwrócił uwagi, za dziewczynkę służebną ją biorąc.

Teraz Marya doznała podwójnej goryczy, poruszona tem wspomnieniem, nagle zbudzonym i silnie odczucym.

On obrzucił ją badawczym spojrzeniem, znużony szarym dniem, czepiając się choć tej chwilowej rozrywki, nagle mu się nastęrczającej.

— Nazywasz pani ciotkę Elżbietę „ciocią!” — wyrzekł po chwili — jesteś moją kuzynką?

Ona nie odpowiadała, w cień ciągle zasnęta.

— Znalazłem więc kuzynkę nagle i zupełnie niespodzianie. W dodatku ocalała mi życie, nie dozwalając umrzeć z głodu, tak, jak to ciocia Elżbieta sobie uplanowała. Je suis ravi, enchanté, fasciné, ébloui!

Odzyskiwał dobry humor i swobodę salonową.

Z bocznej kieszeni wyjął étui i, nie otwierając, zapytał:

— Vous permettez?

— Proszę!

Stanio nad świecą się pochylił i cienki papieros zapalił, z którego zamigotała purpurowa iskierka.

Marya mimowoli w iskierkę tę oczy wlepiała.

— Na strasznym pustkowiu życie — podjął banalnie mężczyzna, wygodnie na krześle rozparty — czuję, że umarłbym, mieszkając tu ciągle.

— My jednak żyjemy.

— Och! to nie życie, to wegetacja!

— Jak dla kogo!

Teraz oboje ożywiali się stopniowo.

— Przekorna jesteś, kuzynko. Mową swą chcesz mi dać poznać, że ty w życiu takim potrafisz odkryć coś więcej, niż jabym to uczynił.

— Być może!

— Oh!... c'est trop laconique! enfin, nie wzmówisz we mnie, że się tu bawisz.

— Aby się bawić, trzeba wiedzieć, co znaczy to słowo.

— Jak to, nie bawiłaś się nigdy?

— Nigdy!

— Cóż więc robiłaś?

— Pracowałam!

Słowo to padło nagle, jak suche uderzenie młota, pomiędzy tych dwoje ludzi, w cieniu siedzących.

Stanio powstał i przeszedł kilka razy salkę, trochę znudzony obrotem, jaki rozmowa przybrała. Ta kuzynka biedna, obdarta i pracująca, wydała mu się nagle postacią, żywcem z angielskiego romansu przeniesioną na wołyńską ziemię.

Marya instynktem kobiety złe wrażenie słów swoich odczuła. Rozsądek i duma nakazywały jej powstać i odejść, tymczasem siła jakaś niepojęta do miejsca ją przykuwała.

Z po za okna doleciało przeciągłe wyście psa.

— To... wilki? — zapytał Stanio.

— Nie, to psy! — odparła dziewczyna.

— Br... zimno, smutno. Okropna pustka!

Kręcił się po pokoju i o szpinecik się potknął.

— Tiens! fortepian! no, no!

Bez ceremonii klapę podniósł, klapę, malowaną białą w kwieciste girlandy.

— Struny ma! tiens! tiens!

Za oknem pies wylł ciągle.

— Trzeba to zagłuszyć!

Przysunął kulawe krzesło i ręce na żółtych klawiszach położył!

Wśród klekotu kościanych kolców stary menuet popłynął pod tonący w cieniu sufit.

Lat tyle szpinecik milczał, kurzem i pleśnią pokryty, aż w tę noc jesienną obudził się nagle ze starą piosenką, która zdawała się drzemać w złocieniach arabesek i girlandach białych róż.

Stanio grał, uśmiechnięty, zapatrzony, przypominając sobie smukłą postać hrabiny Dezy,

która w pudrowanej peruce i z błękitnymi panierami, na ostatnim balu w ratuszu, menueta tego z nim tańczyła, a on, wpatrzony w różowy atlas jej skóry, za drobną rękę ją ścisnął i przyrzeczenie pierwszej schadzki wypraszał.

Opodal jednak, w cieniu spowita, stała do ściany przysunięta Marya, zasłuchana w melodię, z brzęczących strun płynącą i powoli, jak kwiat do słońca, tak otwierała się jej dusza do nieznanego i pogardzanego przez nią uczucia...

Pies wyl jednak ciągle, żalonym, ciągnącym się jękiem, świeca na stole ślaniała się, wydając wązki pasek dymu, i tylko papieros w zębach Stania migał purpurowym blaskiem, rozświetlającym się, to gasnącym naprzemiennie.

Aż powoli, pocichu, rozwarły się drzwi wchodowe i, jak mary czarne, ubogie i smutne, wsunęły się Bukowscy, a za nimi Leontyna, owinięta swim szalem. Drzwi przyrknawszy, pozostali tak przytuleni do ściany, zasłuchani w ten menuet, który przeciągłą ritornellą powracał ciągle w zawrotnem, lekkim, tanecznem tempie. W głuchej pustce tych lat długich, które tu spędzili bez jednego dźwięku, bez jednej nuty, słuch ich pieszczącej, owa kaskada tonów, z pod rąk Stania płynąca, kołysała ich znużone głowy słodką pieszczotą zeszlowiecznej poezji.

W oczach Leontyny migotały łzy.

Suchotnica, ciężko dysząc, stała podniecona,

milcząca, pełna niewysłowionej, bolesnej rozkoszy.

Bukowska, z oczyma błyszczącymi, a głową naprzód podaną, zdawała się kąpać w melodii powiewnej, pełnej czaru, szelestu jedwabnych spódniczek i chrzęstu długich wstążek.

Tylko Marya teraz ukryła twarz w dłonie, jakby broniąc się przed niewidzialnym wrogiem, który sieci swe naokoło niej miotał.

Biedna, nędzna w swej zmoczonej sukience, brzydka, źle rozwinięta, dobywała sił ostatka, szamocąc się rozpaczliwie na tle melodii, w chwili życiowego przełomu, który zaznaczał się teraz przed nią wyraźnie i bolesną ranę w jej sercu żłobił.

Tymczasem Stanio tryumfował, wracając bezustannie w swym menuecie do melancholijnych drzeń, unoszących się w powietrzu. Z instynktem pięknego mężczyzny czuł, że, naciskając klawisze, gra na strunach serdecznych, nienawistnych w cieniu kobiet. Jak zalotnica, rozpuszczająca włosy przed zdziwionym tą kaskadą żebrakiem, tak przesycony muguet'em panicz, rozłaczał nad opuszczone mi głowami smutnych wygnanek całą sieć, utkaną z lekkiej melodii, i w tę pustkę czarnej, wilgotnej izby rzucał całe snopy nut, migocących blaskiem po bagnie tańczących ogników.

Nagle drzwi od alkierza otwarły się z łoskotem.

Zacerwieniona snem, stanęła w nich Elżbieta i rękę ku grającemu wyciągnęła.

— Co to za brzdąkanie?... Proszę przestać!

Lecz Stanio za całą odpowiedź silniej poklawiszach uderzył.

— Pies wyje, trzeba go zagłuszyć! — odparł, zaciskając w ustach papierosa.

— Niech wyje! — zawołała Elżbieta — potrzebniejsze jego wycie, niż twoje brzdąkanie!

I, zdenerwowana tą powodzią tonów, bezustannie powietrze siekącą, do Maryi się zwróciła:

— Kolacya!... a potem niech sobie panicz na cztery wiatry jedzie!...

Z pod szaro ołowianych chmur podnosiło się powoli przemokłe, prawie żółte słońce.

Na ziemi kałuże błota rozlewały się szeroko, jak wielkie ciemne plamy, głębokie i przepaściste. Drzewa przemokłe, zwilgotniałe szarzały w oddali, smutno się ku ziemi chyląc. Dziedziniec cały w cieniu jeszcze tonął i tylko dwór na tem tle białawo się odcinał.

Zdaleka boru nie było widać, jeno pas czarny, rozlany, nad którym niebo jeszcze ciemne było z długimi fijołkowymi cieniami.

Na dziedzińcu, przed gankiem, stała bryczka zaprzęzona w nędzne konie, które, potrząsając łbami, uderzały w dzwonki, zawieszane u dyszla rzędem. Dzwonki te kołatały lekliwie, jakby zachrypnięte wśród słoty jesiennej. Na koźle woźnica, otulony w grubą burkę, kłął, bat motając grubemi, czerwonymi rękami.

Wreszcie na ganku ukazał się Stanio, ubrany w swój płaszcz gumowy, zaspany i wybladły

po dniu, tak źle spędzonym i niedospanej nocy. Po niemożliwej do przełknięcia kolacyi, pożegnany ironicznie przez ciotkę, udał się wraz z Bukowskim do pokoju Maryi i, tam noc spędziwszy prawie bezsennie, teraz z radością się na kolej wybierał.

Szybko neseser swój pod siedzenie wrzucił i sam na bryczkę wskoczył.

— Ruszaj!

Woźnica biczem machnął, bryczka zachybootała, konie szarpnęły i błoto bryznęło dokoła.

Stanio z uśmiechem okiem na dwór rzucił, jakby tem spojrzeniem brał w posiadanie obszarowane mury i całą w nich istniejącą zawartość.

Wzrokiem tym zdawał się mówić „powrócę tu, lecz jako pan i władca”...

Dzwonki u dyszla jęczały przeciągle, tak, jak tylko dzwonki wołyńskich woźniaków jęzczeć umieją.

Tymczasem w oknie dworu, ukryta po za murem, stała Marya, poblądła cała od rannego chłodu i nerwowego wzruszenia, które nią szarpało. Gdy wreszcie bryczka, okrążywszy dziedziniec, wyjechała za rozwaloną bramę, dziewczyna schwyła się kurczowo za piersi, jakby jej nagle tchu zabrakło i, z oczyma szeroko rozwartemi, z ustami zaciśniętymi, stała tak, wsłuchana w jęczące coraz ciszej dzwonki.

VI.

W karczmie leśnej palił się duży ogień na popsutym i wpół rozwalonym kominie. Ogień ten rzucał czerwone, migocące światło na całą izdebkę, zda się przywaloną czerniałym i spękanym sufitem; mech ze ścian wystawał, okienko założone było czerwoną pierzyną, wciśniętą rogiem w wybitą szybkę.

Na ziemi, na porzuconym sienniku spało dwoje dzieci, spódnicą wełnianą przykrytych, w koszulach brudnych, rozpiętych pod szyją.

Na łóżku rozkopanem i wysoko pod sufit zaslanem, siedziała synowa Jankła, wdowa, w peruce z atlasowych orzechowego koloru wstążek i w różowym barchanowym kaftanie, blada, nędzna, wyniszczona chorobą.

Cisza była dokoła, cisza zupełna, pluskiem tylko strząsanej z gałęzi drzew wody przerywana. Czasem zaszumiał nagle wiatr, podrywając gałęzie drzew i znów ucichło wszystko, pogrążone w wilgotnej ciemni.

Siedząca na łóżku kobieta poprawiała się od czasu do czasu, jęcząc cicho, zagasłemi oczy-

ma w płomienie ognia wpatrzona. Kąciki ust jej opadły w bolesnem skrzywieniu, ręce rozpaloną cegłą, owiniętą w brudne szmaty, do podółka ciśnieły. Z pod narzuconej pierzyny wysuwały się nogi chude, suche, obwinięte w strzępy błękitnych pończoch.

Nagle zaszumiało dokoła chaty. Szybkie kroki zadudniły po błocie, jakieś pomieszane męskie i kobiece głosy zamąciły ciszę, ktoś biegł prędko, do karczemki się kierując. Żydówka, z betów się uniósłszy, pilnie słuchała.

Drzwi karczemki otworzyły się, szarpnięte silną ręką. Przez sionkę wpadła Trejne, dysząca ciężko, spłoszona... Za nią ukazała się żółta głowa Orchima, chychoczącego złośliwie.

Wpadłszy do izby, rękę ku dziewczynie wyciągnął.

— A... złapał ja cię!—zawołał.

Lecz ona nogą go kopnęła, ślad błota mu na białych spodniach zostawiając.

— Poszedł!—wyrzekła, zaciskając zęby.

Do ognia się zwróciła i zaczęła się suszyć, roztrzepując fałdy swej wełnianej, ciężkiej od błota spódnicy. Cała masa włosów spadała jej na piersi, nabierając w oświetleniu jaskrawem krwawych refleksów.

Orchim pokręcił się po izbie, a znalazłszy zydel na nim przysiadł.

— A, gdzie ty latała? — zapytał, zęby szczerząc.

Dziewczyna nie odpowiedziała nic, tylko

z pod czerwonych rzęs zapaliły się i mignęły dwie iskry, jak w żrenicach dzikiego zwierza.

Orchim krótką fajkę z kieszeni wyciągnął.

— Ja wiem, kędy ciebie nosi...—mówił—lataj, dyabła sobie wylatasz!

Trejne ciągle milczała, tylko nerwowo palce jej po masie włosów grać zaczęły, płacząc i tak poplątane sploty.

— A jakby ja był zły, toby ja Jankłowi całą prawdę powiedział! Oj-je!... dziesiątą skórę by z ciebie zdjęli.

Trejne plunęła pogardliwie w ogień i dalej milczała.

Orchim z zydła powstał, do ognia podszedł i węgielków małych szukał, chcąc nałożoną fajkę zapalić.

— Dyabli cię biorą ze złości... ha?—wyrzekł, znów do Trejny się przysuwając—boisz się, żebym tatele nie wyszczekał, gdzie ty się nocką włóczysz... Oj, ty *odmina!*

Fajkę na przymurku położył i do dziewczyny znów się zbliżył.

Ona wyciągnęła rękę, jakby się broniąc.

— Idź precz!—wyrzekła chrapliwie.

— O, ce!... jaka dumna. Oj! żydowska królowna!—śmiał się chłop złym śmiechem, za bary Trejne chwytając.

Ona, wyciągnawszy obie ręce, odepchnęła go silnie kulakami, lecz on w locie kulaki te schwycił i dziewczynę do siebie przyciągnął.

— Ot tobie raz! — śmiał się chrapliwie —

ot tobie dziewczynieńko się z Orchimem za bary brać...

Purpura ognia oblewała ich oboje krwawą powodzią.

Z zaciśniętych usi żydówki wypadł jeden charczący wyraz:

— Chamciuch!

— Żydowica—odrzucił chłopak.

Mierzyli się tak oboje długą chwilę, w purpurę spowici, z nienawiścią w oczach.

W kącie Małka cicho jęczała; deszcz w dach bić zaczął, w przegniłą słomę z pluskiem spadając.

Pierwsza Trejna z rąk Orchima się wyrwała i, w kąt izby się zasunawszy, z kieszeni spódnicy jakieś paczki wyjmować zaczęła.

On fajkę podjął i, mrużąc z wściekłości, na zydłu przysiadł, puszczając kłęby dymu.

.

Tymczasem wąską leśną drożyną, wśród gąszczu już bezlistnych, wilgotnych gałęzi, stała cała linia ludzi milczących, pochylonych, z odzieżą podniesioną do pasa, z brodami, rozwianemi dokoła zawiędłych twarzy. Każdy z tych ludzi prowadził za uzdę konia, który szedł niechętnie, ociągając się i co chwila łeb podrzucając. Z drzew ciekła strugami woda na pochylone plecy ludzkie, okryte ciemnymi chałatami, lub na wygięte grzbiety końskie, nierówno pod krzakami sunące. Ciemność zalegała dokoła,

ciemność tak wielka, że o kilka kroków dojrzeć nie można było pni drzew, sterczących dokoła.

Koniokrady szli jednak śmiałym i pewnym krokiem. Wiódł ich Srul, blady krawiec z miasteczka, który okoliczne lasy znał lepiej, niż sami leśnicy i wzdłuż nieprzeniknionych, zda się, gąszczów miał drożynki pewne, wydeptane, zawsze do celu wiodące. Nikt drożynek tych oprócz niego i bandy nie znał; wiły się one, jak węże, pośród leszczyny, ożyn, chojaków i mietlicy. Koronkowy był to na pozór wał, przecież dla innych nieprzenikniony, pełen dołów i rozpadlin, w które zapaść można było w razie potrzeby razem z końmi, zniknąć, jak pod fałą gałęzi, patyków, przegniłej zieleni i wypłynąć o kilkaset lokci, jakby z gardzieli jakiejś hydry, ofiary swe wspaniałomyślnie wyrzucającej.

Srul szedł naprzód, jako przewodnik, z rękami założonemi za pas ciemny i zużyty, z głową wysoko podniesioną, przecinającą śmiało polamane i ogołoczone z liści gałęzie.

Po za nim postępował sznur cały w milczeniu, i tylko plusk kopyt, w błoto wpadających, lub osunięcie się nagle butów po śliskim gruncie przecinało ciszę, pełną grozy, ciemni i chłodu jesiennego.

Czasem koń zarżał nagle, jakby wzywając pomocy, lecz prędko wprawna ręka, za pysk go schwyciwszy, głos ten jęklivy tłumila, i znów banda postępowała ponura, milcząca, niewidzialnym łańcuchem złączona, jak wąż potworny, z ludzi i zwierząt złożony, po zaroślach szybko się wijąc.

Zdaleka wiedli te konie, bo aż z Duchniawki, nocami ciemnymi przez lasy się przebierając. Ze stajni tydzień temu je wywiedli, ze stajni mocno zapartej, lecz niedbale przez ludzi dworskich strzeżonej. Stangret do żonki młodej na wieś poszedł, chłopiec stajenny, w słomę zaryty, spał, psy podławione leżały dokoła bud martwe, z językami z paszcz powywieszanemi.

Czwórka siwych, dobranych jak łątki, koni, od żłobów odczepiona, z kopytami owiniętymi szmatami, wyszła ze stajni, wleczona za uzdy silnemi rękami Jankla i Berka z Rohatycz. Pod dworem, uspionym i w ciemności spowitym, przeszła cała banda, jak cienie, zimna, obojętna, pełna bezkarnej zuchwałości. W kredensie światelko migotało słabe, tam bowiem lokaj sieci naprawiał. Pochylona jego głowa rysowała się na brudnej szybie.

Jankiel w okienko spojrział i ramionami pogardliwie wzruszył. Stanowczo „goje” mieli inne uszy, niż żydzi; nie słyszeli nic, dobra swego bronić nawet nie chcieli!

Srul już za bramę wychodził, stanowiąc głowę pochodu; na lewo w czarnych osłonach tonęła wieś cała uspiona, bez światelka, bez migocącej iskierki.

Żydzi drogę przeszli, powlekli się ścierniskiem, w którym woda pomiędzy bruzdami stała, i zniknęli w paszczy lasu, który zamknął się za nimi, jak wrota podziemnych katakumb, cichy i ponury.

Teraz już powoli dowlekli się do Janklowej

karczemki, gdzie spodziewali się zastać Orchima, który parę koni w stronę Kamieńca miał pognać, pozostałą zaś przeznaczono pojedynczo do Brześcia i Duboja.

Nagle Srul na kłodę utknął i zaklął niecierpliwie. Sosny tej zwałonej nie widział tydzień przedtem, musiał ktoś gospodarkę w lesie odbywać. Nagle koń jakiś, w zaroślach ukryty, zarżał, siwki odpowiadać mu zaczęły, żydzi do pysków przypadli, lachmanami chrapy zatykając. Jakieś czarne postacie, łamiąc krzaki, uciekały chyłkiem; Srul nogą odrzucił na bok siekiere i chłopską sukienną czapkę. Chwilę panował popłoch zobopólny, wreszcie żydzi poszli dalej, wężem się wijąc, chłopci do ścinania chojaków się wzięli, z głuchym łoskotem siekierami wałąc.

Las tymczasem milczał, czarny cały, ponury, jak cielsko olbrzymiego zwierza. Czasem tylko jęk przeciągły puszczyka zawiódł skargę przenikliwą, lub wiatrem jesiennym wstrząsane gałęzie łamały się z suchym trzaskiem i, jak grad leż, na mech i badyle paproci spadały. Puszczyk zawodził, huczał po rozdrożach, gnany ze swych siedzib wiekowych; drzewa, w przeczuciu bliskiego zgonu, gałęzie martwe z siebie strząsały, jakby dreszczem zdjęte przedśmiertnym.

Wreszcie Srul, dróżkę do karczemki znalazłszy, szybko po niej deptać zaczął, wyprzedzając znacznie swych towarzyszy.

Do sionki dopadłszy, drzwi otworzył i szepem prawie zawołał:

— Orchim! ty jest?

Chłop, drzemiący na zydlu, podniósł się i oczy przetarł.

— Jest.

Srul w sieni zniknął, Orchim hyrę poprawił, spodnie podciągnął, fajkę schował i w stronę drzemiącej na ławie Trejny pogroził.

— Poczekaj, ty *odmino* zatraconal... Ja cię nauczę!

Miał w sobie całą złość niewyspanego i niezadowolonego mężczyzny.

Pluł, i wreszcie do flaszki, stojącej na okapie komina się dostał i pił chciwie, gulgocąc, jak indor, a z kącików ust wódka mu się lała w nadrze, po za rozhamraną koszulę.

Zapluskało dokoła karczmy silniej, cicha rozmowa napętniła sionkę. Żargon harkotliwy, urywany, o splekane ścianki się obijał, konie do chlewka naprędce skleconego z desek wprowadzono, gałganów im z nóg nie zdejmując.

Berek z Rohatycz w chlewku na straży został. Jankiel i Srul do karczmy weszli. Zmoczeni i zabloceni, otrząsali swą odzież przed kominem, nie witając się z nikim, wchodząc, jak do obcej, przejezdnej karczmy.

Tylko Orchim, do Jankla podszedłszy, po ramieniu go uderzył i, chybocząc się na szeroko rozstawionych nogach, zapytał:

— Mignięte?

Jankiel głową skinął i, oparłszy nogę o podmurek komina, w płomienie patrzył.

— Farbować będziemy?

— Parę!

— Dla mnie?

— Tak!

— Dla mnie nie potrzeba. Ja ta lęku nie mam. Całe stado przewiozę bez farby!

Piers naprzód wystawiał, hyrę w tył głowy odrzucał, pełen dumy z nabytej wprawy w przeprowadzaniu koni skradzionych w dalekie powiaty.

Jankiel ukosem na chłopą spojrział.

— Idź ty, Orchim, do alkierza, ciemną odzież włóż, z białem płótnem nie możesz się po krzakach szastać.

Lecz Orchim dziś nie miał ochoty słuchać rad żyda.

— Schowaj ty dla siebie mądrości, odmieniony żydzie! — odparł hardo — nie takie ja koniaki po wertepach zganiał i w swoich białych szarawarach. Pomsta na ciebie i na twoje pomysły!

Jankiel ramionami ruszył.

— Twoja wola, Orchim! — odparł — bacz tylko, by ty szelmostwa nie zrobił.

Orchim znów flaszkę wódki do ust przyłożył.

Srul teraz od komina odstąpił i na środku izby stał w odzieży prawie suchej, lecz po kolanach zabłoconej.

— Aj! aj Orchim!... ty znów wódkę ciągniesz! — wyrzekł półgłosem.

Chłopu oczy na wierzch ze złości wylazły.

— A tobie co do tego! — krzyknął, nogą tupiąc — zaprzepaścił ci ja kiedy szkapę, ha? O pust-

ce w brzuchu koniaki ci po rozstajach wieść będą? Czorczi gnacie!

Żydzi nie odpowiedzieli nic, lecz teraz obaj, na ławie zasiadłszy, szwargotać między sobą zaczęli.

Konie duchniawieckie dobry przedstawiały interes. Młode, zdrowe, z dobrej krzyżówki, w Duchniawce wyhodowane na dobrej stajni, mogły wybornie być sprzedane, byle o kilka powiatów odprowadzone czas jakiś w ukryciu przebyły. O wykupnie mowy nawet nie było. Konie kradziono już trzeci raz; dwa razy wykupił je pan z Duchniawki, teraz zaś przeznaczono je na wywóz i rozsypkę z czwórki po rozmaitych powiatach.

Sygnalizowane od dawna w oznaczonych przedtem miejscach, oczekiwane były przez bandę, szeroko sieci swe rozsnute mającą.

Zadaniem Srula było wracać do miasta i w dni kilka dopiero z jednym koniem przefarbowanym do Brześcia wyruszyć. Berek z Rohatycz tejże samej nocy ku Brodom przez Radziwillów miał się przebrać, wybojami jadąc. Orchim na Kamieniec z parą ruszał, drwiąc sobie ze wszystkich niebezpieczeństw, slaniając się po drogach o zmroku, popasając w karczmach pełnych ludzi.

Rogata bo w nim dusza była, harda i odważna, z pod rozczochranej hyry oczy tylko migęły, jak u zwierza rozjuszonego, to znów czającego się w chwili na łup oczekiwania. Wódka

mu płomieniem po żyłach grała, a chęć nieprawego zysku w duszę wrosła. Nie z chciwości jednak z Jankiem się związał, ot—poprostu miał już we krwi chęć nieprzepartą do złego, do czynienia krzywdy drugim. Krwią nigdy się nie splamił, czuł jednak rosnące pragnienie zmoczenia w niej swych rąk żylastych. Z ojca i matki to już podobno wziął, w dniach krwawych zrodzony. Matka jego błąkała się wtedy długo, aż w Siemiatyczach za najmitkę poszła, z dziećmi w płachcie na plecach kwilącym. Dzieciak wyrósł chmurny, to znów chychotem niepoczciwym jakimś rwany; skręcał lby ptakom, kaleczył psy, gonił przepiórki. W wiecznej nienawiści dla dworu, pod murami się slaniał, w zakratowane okno alkierza wpatrzony, ciekawy, przejęty cały legendą, krążącą o skarbach, zawartych w skrzyni Szeniewieckiej.

Powoli — z żydami się złączył i do Jankla przyrósł, sprzężony z nim ręką fatalizmu, dając swój spryt chłopski wzamian za niewielką stosunkowo zapłatę, wyzyskiwany, podniecany siwuchą, pelen ciągłej chęci postępowania w złem, zwiększania zbrodni, która nurtowała go, jak pragnienie wódki.

Teraz Srul i Jankiel, na marszrutę koni po lekkiej sprzeczce się zgodziwszy, odpoczywali, oddychając ciężko, bezpieczni w swej jamie, po której szczelinach tylko wiatr jesienny grał i okruszyny mchu rozrzucał.

Wreszcie Orchim pustą flaszkę na kominie postawił.

— Jankiel! a jakże z tem? ha?...

Jankiel brwi zmarszczył.

— Musi być! — odpowiedział chrapliwym głosem.

Orchim zaśmiał się i plecami poruszył.

— Kiedy?

— Przed grudą... niedaleczko!...

Orchim chychotał ciągle, podniecony i rozpromieniony. Wreszcie dreptać trepaka zaczął.

Tańcuj, tańcuj, dziewczyno,
Żebyś za męża poszła!

Żydzi siedzieli nieruchomi, spokojni, cali w jasnym blasku ognia skapani.

Przed nimi w migotliwym, złocistym oświetleniu wiercił się pijany chłop, rozwiewając dookoła białe płótno koszuli.

Cichy jęk żydówki, cisnącej do piersi wystygłą już cegłę, wtórował łamanym słowom piosenki.

Jankiel powstał i, przy kominie przykląkwszy, z boku w grubce grzebać począł. Wreszcie znalazł jajko i, stłukłszy je o krawędź, obłupywał z wielką wprawą.

Srul siedział ciągle, nieruchomy, jak posąg, blady, z twarzą wyciągniętą, z oczyma podsiniąłymi. Z rąk mu zwisał ku ziemi postronek grubo, w węzły powiązany.

Tymczasem z ławki podniosła się Trejne i, oczy przetarłszy, powstała.

Jankiel spojrzał na nią z pod oka. Nie lu-

bil jej nigdy, tej przekornej dziewczyny, w której czuł jakąś dla siebie pogardę. Nie mógł znieść spojrzenia jej wielkich oczu wzgardliwych, dumnych i jakby rozmarzonych. Wreszcie od pewnego czasu synowa skarżyła się, że Trejne nigdy w domu nie siedzi, zawsze gnana jakąś niepoczciwą chęcią latania po lesie, powracania późną nocą, lub, co gorzej, wczesnym raniem.

Szybko więc do przeciągającej się dziewczyny zwrócił i urywanym, harcującym żargonem, zapytał:

— Gdzie ty była?...

Trejne kończyła przeciągać się, jakby pytania ojca nie słysząc.

— Gdzie ty była?—zapytał Jankiel.

Trejne z pod gąszczu włosów oczy niedobrze błyszczwały.

Tymczasem Orchim w *prysiadach* do niej się zbliżał.

— Ohe! korolewna!...

Ona nogą go kopnęła.

— Poszedł!

Pijak zachwiał się w podskoku, z ust mu buchnął gorący oddech, przepojony wódką.

— *Odmino* ty nieczysta!... pek tobie, wiedźmo! latawico!... kopać chrześcijańską krew będziesz? ty miłośnico posesorska!...

Trejne ręce nerwowo wyciągnęła, jakby chcąc Orchimowi język w gardło wtłoczyć, lecz już Jankiel stał przed nią groźny i za obie ręce ją chwycił.

— Co on gada?—zapytał.

Dziewczyna skrzyła się jak wąż, czarną masą włosów po ziemi zamiatając.

— Jakiego ty posesora miłośnica? gadaj!

Piana mu na usta wystąpiła, straszny był cały w błysku ognia, który mu prosto na twarz padał.

Z łóżka doleciał cichy jęk przerażonej kobiety.

— Tatele!

Lecz on nie słyszał nic, coraz więcej na córkę następował.

— Gadaj!

Orchim, który żargon rozumiał, z boku podrzucił:

— Horeckiego posesora miłośnica, Horeckiego. Tak mi Boże dopomóż!

Trejne, jak pies wściekły, ku niemu się rzuciła.

— Łcesz!

Ale on chychotał cicho, przedrzeźniał ją, wywieszał język.

— Łcesz? Ty sama, czarna więdźmo łcesz!... Cała wieś dobrze wie, jak na wrywki przez zagony do Horeckiego dworku sadzisz!

Jankiel ścisnął ręce Trejny i potrząsł nią całą.

— Czego ty tam chodzisz? czego? co ty z tym chrześcianinem masz?

Na czoło mu wystąpiły żyły, na myśl, że raz już u nich w rodzie wstyd był i hańba ciężka. Tolce, Aaronowa córka, chrzest przyjęła i żoną

goja została, na wieczne całej rodziny pohaf-bienie.

— Mów!... co ty z nim masz?

Trejne usta zacięła i tylko oczy jej ciągle latały, jakby pod wpływem straszego niepokoju.

— Ja ciebie zabiję, gadzino ty niepocz-ciwa.— zaczął Jankiel syczącym głosem, nachy-lony nad twarzą rozpaloną córki—zabiję, zdławię własnymi rękami! Ty od gojów trzymaj się zdala, bo niech święta nie doczekam, jeśli cię w proch nie zetnę, w ziemię nie zakopię pierwej, nim ci pomiędzy nimi żyć pozwolę!

Ręce dziewczyny cisnąc, ku ziemi ją giał, tak, że przyklekła u stóp jego, przeginając się w tył, cała purpurowa od krwi nabiegu.

— Ty... podła!... podła!...

Ona, pod obelgą oczu nie spuszczała i źre-nice jej, dzikie, płonące, gorzały, jak świece, w czarnem rżęs obramowaniu. Z ust mocno przy-gryzionych, drobna kropla krwi się sączyła.

Pochyleni nad sobą mierzyli się teraz oboje oczami, wściekli, pobudzeni.

Nagle dziewczyna, odczuwszy słabsze rąk ściśnienie, zwinęła się, jak gadzina i, tuż pod nogami ojca się przesunawszy, ku drzwiom sko-czyła. W sekundę była za chałupą i z dzikim krzykiem w czarną gąszcz leśną wpadła, jakby w tej ciemni szukała ochrony. Woda w kałużach plusnęła, gałęzie krzaków z trzaskiem załopotaly i Trejne zniknęła, jak czarne zjawisko, nie go-niona przez Jankla, który na ławkę koło Srula

upadł i, głowę w dłoniach ukrywszy, cicho po-stękiwał.

W godzinę później wszyscy złodzieje koni szli wolno drogą, prowadzącą przez łąki do Zabi-janika.

Berek z Rohatycz powiódł już swego konia, któremu przemałował grzywę i ogon na prędce, a przez krzyż pędzlem ciemną pręgę, ku bokom jaśniejszą, przeprowadził. Orchim nagle zmienił postanowienie i dopiero nazajutrz w samo południe wyruszyć postanowił; teraz za żydami, idącymi przez zabijanickie grunta do miasteczka, się włókl, żując tytoń, z tabaką pomieszany, i od czasu do czasu spluwając.

Żydzi szli jeden za drugim, milcząc, nie mając więcej nic sobie do powiedzenia, skoro interesu załatwili, pogrążeni w zadumie, każdy o swoich kłopotach. Jankiel miał teraz przed oczyma wyzywającą postać Trejny, splamionej tajemnymi konszachtami z posesorem z Horki. Nie szczęściło mu się w dzieciach, bo oto ze-szłej jesieni zmarł syn, zdolny złodziej koni, który, postrachem będąc całej okolicy, ojca, ba, nawet dziada, samego Szmula z Siemiatycz, prześcignął. Teraz znów Trejne, ta Trejne, która miała po-słubić Sichima, syna Aarona z Kowla, z niena-wistnym chrześcianinem w znajomość się wdala, kalając swą krew i na zagładę się prosząc.

Jankiel na myśl tę samą wzdrygnął się, jakby na widok gadziny.

Chłodny wicher jesienny, po łąkach hulający, twarz mu rozgrzaną chłodził i żar z ust wyciągał; on szedł coraz prędzej, jakby przed jaką myślą straszną uciekając.

Usta mu kurczowo drgały, oczy, otwarte szeroko, śledziły machinalnie kontury sylwetki Srula, który czerniał przed nim o kilka kroków, ciągle wyprostowany, smukły, bladą twarzą powietrze przecinając. Za nim włókł się Orchim, a nogi jego ciężko tonęły w rozmokłym gruncie i z charakterystycznym odgłosem od błota się odrywały. Chłop, jak niewolnik, za żydami po błocie brnął, mimowoli przybierając linję, przez nich zakreślaną.

Zdała panowała atramentowa ciemność; za ledwie blizkie krzaki, rosnące nad rowem, okalającym drogę, rozróżnić można było.

Wreszcie Orchim, znudzony, Jankla za chałat złapał.

— Jankiel! słysz! — odezwał się przyciszonym głosem—pod oknem ja na wywiadki był.

Jankiel głowę pytająco zwrócił.

— Czego ty tam chodzisz? czego?

— Żeby już pewnośc mieć, jak i co!

Żyd niecierpliwie ramionami ruszył.

— Ty durny chłop jesteś!—wyrzekł—jeszcze obaczą ciebie, to co potem będzie? Strzedz się będą i tyle. Aj! aj!... Orchim! co ty za łeb masz!...

Orchim hyrą potrząsnął.

— Ty się, odmieńcze pohany, nie bój; ja ta dobrze ważę, nim co działać wezmę!

Jankiel stanął i ręce za pas założył.

— Ty nic, Orchim, do działania nie masz. Jak ja ci powiem: już czas, ty wtedy za mną idź; ty nic na swoją rękę nie rób, bo sam przepadniesz i mnie zgubisz! Pojął ty?

Lecz Orchim się stawiał, nogi na błocie rozkraczał i pięście zaciskał.

— Ta czemu? ta czemu ja mam zawsze za tobą chodzić? Czy ja to cielak, czy cień twój, żydzie?

Jankiel spokojnie brodę gładził.

— Ty nie krzycz tak, głupi, bo cię jeszcze posłyszą, ta turmę obaczysz przed czasem!...

Lecz chłop, wódką spojony, w garść pluł.

— A no, to i zgniję w turmie, jak należy, ale z tobą, wężu pohany! czorcie zatracony!...

Na drodze, zdała, dzwonki słabo dzwoniły. Teraz Srul, ciągle przodem idący, nagle się zwrócił i do Orchima podszedł.

— Pan sprawnik jedzie.

Orchim oczy szeroko roztworzył.

— Niech jedzie — wyrzekł z uporem — do brze jest, że jedzie. Otóż nas teraz w kupie pochwyć i do turmy zagnają!...

Łzy mu nagle do oczu napłynęły.

— Aj, Janklu, duszko, po co ty na ten świat przyszedł, kiedy już tobie taka zatracona dola przyszła.

Rozrzewniał się, ręce rozstawiając.

Dzwonki brzęczały coraz wyraźniej. Żydzi obejrzeni się dokoła i, po krótkiej naradzie, do lasu, w który droga wpadała, dążyć zaczęli. Za

nimi Orchim zapłakany dążył, ucierając nos w garść i powtarzając ciągnącym, rzewnym głosem:

— Janklu, żydziaczkul... Taka ci to dola twoja...

Żydzi już do krzaków dotarli i w gąszcz się zapuścili, gdy dzwonki zajęczały hałaśliwie i plusk kopyt końskich dał się słyszeć dokładnie.

Koła podskakiwały na porzucanych przez drogę chojakach, które tonęły w błocie i wilgoci, czarnymi cielskami jak stężałe gadziny drogę przecinając.

Żydzi gąszczem mknęli cicho, instynktownie do ziemi się chyląc, nie chcąc być widzianymi przez jadących, których w cieniu rozpoznawać nie było podobna.

Orchim, wiedziony instynktem samozachowawczym, umilkł, krzaków się chwytając, tylko lży mu jak grad po twarzy brudnej ciekły i na płótno koszuli spadały.

Nagle bryczka podskoczyła na jakimś pniaku i równocześnie dał się słyszeć nosowy, przeciągły głos mężki.

— Aj, Kuliczku, serce!... a uważaj ty, kochanie, bo duszę ze mnie wytrzęsiesz!

Na ten głos Srul nagle się zatrzymał.

— Krowołapnik!

— Sam w nocy, w lesie, w ręce po prostu lezie i o swoje się prosi.

Srul w piersiach dech zaparł i na nadejście Jankła czekał.

Za chwilę ojciec Trejny o krawca się potknął, ten mu usta do ucha przyłożył i chwilę coś szep-

tał. Jakiś śmiech kurczowy nagle z piersi Jankła wybiegl...

— Git, git! — odparł, rękawy chałata zaginając.

I puścili się teraz obaj szybkim krokiem wzdłuż drogi, koło zataczając, aby bryczce Brunona drogę zająć.

Brunon jechał zły i zaspany. Wracał z Siemiatycz, gdzie dano mu resztki z obiadu: trochę kartofli i kości schabu do ogryzienia. Pani Elżbieta, ironiczna i zgryźliwa, zmęczona newralgią, która jej głowę dręczyła, siedziała cały czas, mając rondel na głowie dla uśmierzenia rozigranych nerwów. Z pod tego rondla, jak z pod hełmu wojownika, rzucała bezustannie strzały w pierś Brunona, którego mieniła być rozrzuconym marnotrawcą, jeżdżącym w trzy huzarskie konie i ubierającym swego woźnicę w mantynę i grodenaple. Leontyna nie pokazała się wcale.

Podobno obłożnie od dwóch dni była chora. Marya milczała smutna i przybita.

Nieobecność Leontyny była tylko jedną słabą pociechą dla serca starego egoisty. To wybladłe i wyschłe widmo panny, która miała niejakię prawo do jego względów, drażniło go zawsze niewypowiedzianie... Ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, nie lubią patrzeć na to, co ich nikczemność przypomina.

Stanowczo Brunon - nie mógł znieść widoku Leontyny. A przecież był czas, gdy Brunon do Siemiatycz w sekrecie przed mamą senatorową jeździł i, z siwka swego złażąc, młody pseudo

hrabia szyję na wszystkie strony wyciągał, aby tylko szlafroczek z bareżu dostrzedz i białą pończoszkę, z pod fałdów sukienki się wysuwającą!

Brunon na siedzeniu się poprawił, nieprzyjemnem wspomnieniem dręczony!

Tak, tak... stoliki wirujące, słodkie dźwięki harfy, szlafroczyki z muślinu na rurkowanych spodniczkach, oddziaływały na niego w dziwny sposób. Oglupiał i kto wie, do czego byłby doszedł, gdyby nie ocaliła go mama senatorowa i poczciwa pani Elżbieta.

O! ta odrazu zaprowadziła porządek i ład w tej całej sprawie...

Później wlokło się to, niby ukradkiem, aż wreszcie na jednym punkcie stanęło i już tak zostało, powoli w status quo przechodząc.

Siedzenie na bryczce było niewygodne, Brunon zsuwał się ciągle za każdym podrzuceniem kół. Dywanik był ślizki, przemogły i zupełnie wytarty.

Brunon wykrzywił się dziwacznie i przeziębłymi rękami za drążki chwycił. Czasem o Kulika nagle nosem uderzył i wtedy mrucał:

— Kuliczku serdeńko! nie szturchaj ty pana hrabiego!

Nagle z gąszczu jakieś ciemne postacie się wysunęły i drogę koniom przecięły. Szkapy wspięły się nagle, spłoszyły, przedniemi nogami powietrze bijąc.

Jankiel już do lejcowego dopadł i silną ręką do ziemi go gwał. Sruł do kozła zmierzał, chcąc Kulika obezwładnić, lecz woźnica pod kozłem

zniknął raptem, głowę w siano schował, przerażony, nieprzytomny z trwogi.

Brunon z siedzenia się porwał.

— Kto tu? kto tu?...

Lecz już Szmul na drążek się wspiął i silnemi, nerwowemi rękami za gardło hrabiego schwycił.

Szamotali się krótką chwilę w ciemności, dysząc ciężko. Konie szarpnęły się jeszcze, Jankiel u pysków im się wieszał, przytrzymując.

Teraz już Brunon z sił opadł i na kadłub bryczki się osunął, z ubraniem poszarpanem, z twarzą pobladłą. Sruł pelerynkę z niego zdzierał i, szarpiąc ją na sztuki, ręce mu z tyłu wiązał.

— Krowołapnik! — mrucał przez zaciśnięte zęby.

Nienawiść plemienna i pamięć krzywdy brzmiały w tym cichym szepcie. Błady żyd ocknął się teraz i cały wściekłością dyszał, mszcząc się za grosze, na stoliku pod galeryą kładzione.

Z krzaków wreszcie wynurzył się Orchim.

Jankiel syknął na chłopca, do koni go wołając. Orchim melancholijnie do bryczki się zbliżył i, wspiąwszy się na koła, ciekawie na Sruła patrzył.

Teraz Brunon, silnie związany, leżał w bryczce dławiąc się własnym gniewem. Milczał, nie chcąc oporem swoim wywołać ciężkiej dla siebie katastrofy, okradzenia z pieniędzy, które na piersiach nosił. Czuł po sobie wiązania i obchodzenia się z sobą, że pada ofiarą jakiejś osobistej zemsty. Milczał więc i, tylko ukradkiem oczy otwierając,

starał się twarze napastników swych w cieniu rozpoznać.

Lecz cała masa siana zwała mu się teraz na twarz, but podkuty Kulika, skurczonego pod kozłem, w czoło mu się boleśnie wrył i perukę zdzierał.

Tymczasem Jankiel lejcową szkapę szybko odpręgał i dzwonek od dyszla odczepiał. Poczem, na kawałku rzemienia, z lejc urżniętego, dzwonek na szyi koniowi zawiesił.

— Fertig? — zabrzmiało od bryczki.

— Tak.

Srul Brunona jak kłodę dźwignął. Teraz Orchim zaczynał rozumieć i czempredzej grafa za nogi pochwyił.

— A chodź grafeńku, nieboże! — zaczął przeciągłym głosem.

— Pst!... syknął Srul.

Lecz chłop nie miał zamiaru ukrywać się w tej chwili.

— A chodzi krowi grafie! synu najmilszy! ty krasneńki!... Po lubczyk ty po lesie jeździsz... ta lubczyk my ci damy..

Jankiel konia podprowadzał. Dzwonek przeraźliwie jęczał, szyją konia miotany.

Srul wraz z Orchimem Brunona na szkapę podrzucił chcieli, lecz koń w bok uskoczył; sprbowali raz jeszcze; udało im się. Teraz jednak Brunon, przerażeniem nagle zdjęty, krzyczeć okropnie zaczął:

— Jezus Marya!... ludzie!... ratujcie!... zabijają!... za...bi...ja...ją!...

Orchim, jak małpa, na zad szkapy się wdrapał.

— Synku, nieboże, nikt ci tu żywota nie wydrze!... Stul mordę.

Brunon z konia zleźć usiłował.

— Ostań na szkapie, grafeńku! — chychotał Orchim, podczas gdy Srul ręce Brunona rozwiązywał.

Brunon, korzystając ze swobody, rękę wyciągnął, lecz już mu Orchim przez ręce drąg silny przekładał i dłonie do niego szmatami krępował.

Brunon szarpać się nie przestawał. Koń wierzgał, po błocie się ślizgając i przez chwilę kilku ludzi, u tej białej masy uczepionych, chybotało się na ciasnej drodze.

Wreszcie nogi grafa pod brzuchem konia związane i ręce silnie do drąga przykrępowano.

— Ra...tun...ku!... — jęczał Brunon.

Orchim z konia się zsunął i do krzaków dopadł, mocnych prętów szukając. Wyla mywał z trzaskiem grubą gałąź i o błoto nią uderzał.

— Kulik... Kulik!... gdzie ty? — jęczał Brunon, głowę nagą, błotem obryzganą, w ciemność wykręcając. — Ku...lik!

Głos mu w łkanie przechodził. Czuł się w tej chwili starcem, bezsilnym, przez niktą w cieniu o żelaznych dłoniach istoty dręczonym.

Lecz już Srul od konia odstał, a Jankiel za uźdę na drogę szkapę wyprowadzał. Orchim zbliżył się i, silnie konia za ogon schwyciwszy, na nogach się osadził.

— A toż tobie, pane grafe, marna dola przysła—zaczął znów swym lamentującym głosem Orchim.—A w jakąż ty, serce, czarną godzinę na świat przyszedł... Aj, doloż! dolo!...

Lecz Srul do chłopą poskoczył.

— Dawaj!—krzyknął.

Gałąź chciał mu z rąk wyrwać, lecz Orchim go kopnął z gniewem.

— Poszedł, żydzie!... poganinie, to moja rzecz!... chłopka!... Ganiaj... wio!... ha!...

Z wściekłością konia po zadzie uderzył raz i drugi, lecz ogona nie puszczał. Koń na tylnych nogach się wspiął, do ziemi przysiadł, gałąź spadła raz jeszcze i teraz dopiero chłop z tryumfalnym krzykiem zwierzę puścił, które pomknęło naprzód jak szalone, dzwoniąc przeraźliwie i kopytami waląc po błocie.

Na ścieżce pozostali żydzi i chłop błotem oblepieni, nienawiścią dyszący, rozgorączkowani...

Z wytężonem okiem śledzili kierunek, w którym koń popędzić musiał i chłonęli w siebie szalony, rozpaczliwy jęk dzwonka, który oznajmiał o tym upiorze, w cieniach nocy, jak widmo, sunącym po drodze, z rękami rozpiętymi, z twarzą bladą, straszną, krwią i błotem zbroczoną.

Wówczas z bryczki podniosła się nagle jakaś zgarbiona postać w świtce ze starych kawałków mory i mantyny zlatanej i cichy, przenikliwy chychot rozległ się dokoła.

To Kuliczek, woźnica pana grafa, nagle odczuł radość z nieszczęścia swego chlebobawcy.

Dzwonek jęczał jeszcze ciągle wyraźnie nierówny, konwulsyjny, a na ścieżce przysiadł Orchim, za boki się trzymając.

— Ot tobie czorcie swat! — wołał, wijąc się pod chałatami żydów.

A tymczasem, wśród czarnej, lasem obramowanej drogi, pędził ciągle biały koń z uczeptionym na grzbiecie Brunonem.

Przerażone zwierzę sadziło teraz po kałużach, wodę dokoła rozpryskując, przeskakiwało wyboje, często się ślizgając. Kopytami bił o ziemię koń i coraz grzbietem potrzasał, jakby chciał się pozbyć tej bezkształtnej masy, ciężącej mu na grzbiecie. Wiatr twarz Brunona siekł, jakby starcowi urągał, drzewa bezlistne szemrały ze zgrozą, swe czarne konary ku niebu podnosząc, a dzwonek jęczał... jęczał przeraźliwie, a koń w czarną przestrzeń biegł coraz dalej... dalej...

VIII.

Teraz Marya nie poznawała już samej siebie.

Od rana do nocy zajmowała się wprawdzie tem, czem dawniej, lecz praca jej z rąk się wysuwała, a jakaś miękkość obejmowała ją całą. Zatrzymywała się często na miejscu, smutna, zamysłona, i stała tak długo, wpatrzona przed siebie, z twarzą pobladałą i rękami wzdłuż ciała obwisłymi...

Ciągle i zawsze miała teraz przed sobą wspomnienia bytności Stania, i jakby nagle zagaśło dla niej słońce po jego odjeździe, tak stało się jej szaro i smutnie. Człowiek ten przeszedł przez jej życie, jak cień, i jak cień też ciemną oponą powłókł jej istnienie.

Dziewczyną, bezwiednie, nagle, poznała wszelką udrękę tego dziwnego stanu, który ludzie mianem „miłości” ochrzczili.

Sądziła, że jest chorą; piła „malinki” gorące, pocąc się pod swą ubogą kolderką, strugi potu oblewały ją całą, gorączka wszakże nie ustę-

powąła, serce biło coraz prędeż na samą myśl, na samo wspomnienie minionych chwil.

I wszędzie, wszędzie, on szedł za nią, piękny, wyniosły, ironicznie uśmiechnięty. Czy to na ganku, gdy stała, słuchając pluszczącego deszczu, czy w sieni, wśród ciemności, czy w salce—wszędzie, wszędzie go widziała... Nawet wśród ścian swej ubogiej izdebki, nawet na tej kanapce pod oknem ciągle ta wizya majaczyła przed nią, nieuchwytna, a przecież konturami swemi w serce się jej wrzynająca.

Bo teraz, zamiast serca, miała Marya jakąś dotkliwą bliznę, pod którą krwawiło się coś boleśnie. Czula po prostu ból fizyczny, ciągły i bezustanny. Rozpuszczała zaszywki stanika... nic nie pomagało. Zanim zasnęła, męczyła się długo, cierpiąc w milczeniu. Łkania ją dławiły, lez miała oczy pełne, i co chwila zdawało się jej, że wybuchnie głośnem szlochaniem. Przewyciężyła się przecież i, po długiej walce, leżała pogrążona w półśnie gorączkowym, który ją wyniszczał. Powoli stawała się dziecinną, i cały hart jej duszy topniał w tej rzewności, w której się teraz kąpała. Pochowała rozmaite pamiątki z bytności Stania: flaszczykę z wodą kolońską, kawalek gazety, którą znalazła porzuconą w swoim pokoiku. Mówiła ciszej i łagodniej, a spojrzenie jej nabrało nieokreślonej rzewności. Dojrzywała moralnie, stawała się bardziej kobietą. Nawet ruchy jej, często szorstkie i nieestetyczne, miały teraz jakąś miękkość i zaokrąglenie. Na

wiadomość, że Motrunka, Hieronimowa dońka, zaślubia po awdencie Stepanowego Iwana, zakryła twarz, jakby rozpaczą nagłą zdjęta. Sama myśli o szczęściu tej dziewczki mieszała ją teraz w niepojęty sposób. Dawniej odbierała *werez* od nisko kłaniającej się panny młodej z chłodnym uśmiechem; dziś, wobec tych dwojga młodych ludzi, nie mogła zachować się obojętnie. Czuła przejście rozpalonego żelaza wzdłuż piersi, w oddali zaś majaczyły przed nią wielkie szafirowe oczy, ocienione długą rzęsą...

Nieraz kwarta, którą Marya mierzyła otręby wpadała na fartuch zdziwionej Władysławowej, a wówczas gospodyni, skrobiąc się w głowę, pytała:

— Co z paniunią? urok na was padł? ha?

Ciotka Elżbieta długi czas zdawała się nie dostrzegać nic, lając tylko czasem siostrzenicę za ślamazarność, z jaką po domu się krząta.

O Staniu nie wspomiano nigdy, lękając się sprawić przykrość ciotce, która o sukcesorze swym prawie już zapomniała.

Pewnej soboty, w miesiąc może po bytności Stania, przystąpiono do zamiatania salki.

Elżbieta rzadko czynność tę spełniać pozwalała, mówiąc, że śmiecie i tak się nogami wyniesie.

Było to w południe chmurne i ponure. Zima nie mogła zdecydować się na pierwszy śnieg i szara słońca wciąż jeszcze dokoła dworu, jak całun mokry, się słała.

W salce Marya, z sukienką podniesioną i z tyłu zapiętą, oraz Bukowski, dopomagali Władysławowej, która odsuwała meble i ścierką kurz zgarniała. Pod oknem, o szybę wsparta Leontyna, owinięta szalem, z rumieńcami ceglami na zapadłych policzkach, kaszłała ciężko, śledząc smutno ku ziemi obwisłe konary drzew, przez które szarostalowe prześwitało światło. Koło szpinieku siedziała na fotelu Elżbieta osowiała dziś i zgryźliwa, dręczona reumatyzmem i newralgią silniej, niż zazwyczaj.

Marya prawie u nóg jej przyklękała, zbierając mokrym płatem całe pasma błakającego się i pokłębionego kurzu. Elżbieta śledziła ruch jej rąk i przygryzała usta.

— A cóż u dyabła? — zawołała wreszcie — ślepa jesteś, czy co? nie widzisz, co się dzieje pod ścianą?

Marya posunęła się dalej.

— Darmozjadów kurz się czepia! — mruzczała dalej Elżbieta — darmozjadów i leniuchów. Dlatego tyle brudu się tu namnożyło... O... Ja tu podszwami mojemi kurzu nie przyniosę, ani ja... ani Szmul.

Była teraz znów po stronie Szmula, cała podbita „szlachetnością”, z jaką przyjął podwyższenie arendy i propozycję zakupu hurtowego wszystkich zbiorów siemiatyckich.

Bukowski, zgięty we dwoje, podnosił papiery, wióry i kawalki rozmaitych śmieci, niewiadomo nawet, w jaki sposób się dostające.

Nagle wyciągnął rękę po jakiś biały przedmiot, na podłodze leżący i ręka spotkała wyciągnięte palce Maryi.

Cofnęli się oboje; ze swego krzesła na nich spoglądała Elżbieta.

— A to papieros jeszcze po tym wizytancie, kawalerze wiercipięckim! — odezwała się wreszcie — a sprzątnijcież go u dyabła, niech go na oczy nie oglądam!

Znów ręka dziewczyny i starca wyciągnęła się w stronę niedopałka, porzuconego niedbale podczas wykonywania przez Stania menueta.

Bukowski łakomie na tę resztkę spoglądał. Chciał dopalić ten zwietrzały papieros, po kolacyi, ukradkiem przed żoną, przypominając sobie dawne czasy.

Marya zaś, jak po pamiętkę, ot, po kobiecemu, rękę wyciągała.

Wreszcie dziewczyna niedopałek podniosła i cała zmieszana za stanik go zatknęła.

Elżbieta na fotelu podskoczyła.

— A cóż to znowu za farmazonia? — zawołała — pewnie teraz papierosy będziesz palić? ha? otóż to świat dzisiejszy! Jeszcze się gwizdać nauczcie do kompletu.

Marya, zmieszana, prędko papieros z poza stanika wyrwała i na ziemię go rzuciła.

— Ot, masz! — zawołała — znów śmiecie rozrzucaj! — dalej... dalej!... A może panna chciała sobie pamiętkę po kawalerze schować? Ha?

Szyję Maryi oblała purpura. Opuszczonej ku ziemi twarzy dojrzeć Elżbieta nie mogła.

Stara kobieta aż nogami o ziemię uderzyła.

— A to pociecha!... Jezus Marya!... ot, panna się zacłapała w tym glansowanym pajacu.

Marya, czując purpurę na twarzy, chyliła się tylko ku ziemi, nie śmiejąc w oczy spojrzeć obecnym.

Elżbieta, w siódmym niebie z radości, iż odkryła jakąś w tej silnej dziewczynie słabą stronę, dalej się pastwiła.

— Otże to radość nieźródlna! Panna Marya, osoba przykładna, zadurzona powyżej uszu w takim brzdąkaczu, w takim elegancie!... Serce, Maryniu, duszeńko, on taki na ciebie inaczej, jak na Władysławowę, nie patrzy, on ma po uszy wypizmowanych, wyfanfiruloszonych dam, ot, na wybiórki. Nie wierzysz mi?... Szmula za-pytaj!... Ot co!...

Marya zęby zacięła, nie umiejąc znaleźć w swej piersi ani jednego słowa, ani jednego krzyku, któryby nie pozwolił dalej ciotce ranę jej wydobywać na wierzch i z taką brutalną zuchwałością odsłaniać.

Dawniej skoczyłaby, jak lwica; dziś pokonana, zmęczona, znudzona, nie umiała, nie mogła się bronić, i prócz łez, nic w sobie nie miała.

Elżbieta ciągnęła dalej, nieubłagana.

— Co im to z tą miłością po łbach strzela? Ha? Jeść co niema, dachu swego, koszuli na

grzbiecie, i ot, kocha się!... Aj! aj!... serdeńko... kocha się! Ta co? tfu!... u czorta, nie wstyd ci to ślepie wypatrywać za jakimś durniem, co ma wąsy, jak przypięte, a śmierdzi lewandą, jak tchórz pod kurnikiem...

Ręką machnęła.

— Wszystkie wy jednakie, stare, czy młode, durne i za błahostkami patrzące. Statku w was za pięć groszy i ot, byle czego, panna leci na oślepie i potem całe życie wzdycha, wzdycha, jakby jej za to płacili.

Marya powstała i, ścierkę porzuciwszy, szła, milcząc, w stronę drzwi, gdzie leżała miotłka z wydartą do połowy szczecina.

Gorące wypieki zastygły jej teraz na twarzy, na rzęsach drgały dwie lzy.

Od okna śledziła ją Leontyna, z jakimś wielkiem, serdecznym współczuciem.

— I żeby ty się choć widziała, serce, jaką ty mizerną masz postać!—podjęła znów Elżbieta—ta by ty sama gębę otworzyła nad swoją głupotą! Ani ty z pierza, ani ty z mięsa, bo to ani posagu, ani urody... I co ci to do lba strzeliło? ot prost waryatka!

Teraz w Maryi powoli zaczęła budzić się reakcja; pod chłuszczącemi ją wyrazami ciotki drżała cała z gniewu i wstydu.

— Ty cała się w matkę swoją wdala!,—ciągnęła dalej Szeniewiecka, — jak jej się ubrdało, duszeńce, poślubienie tego hajdamaki, Salkow-

skiego, tak... bij! zabij! lamenty, fochy, spazmy, aż dali jej tego golasa, co prócz długów miał jeszcze brodę na łokieć długą z konopil!... I co jej z tego przyszło? Ha! Poszli oboje na marne, na marne... i nic z nich nie ma, ani pożytku... ani...

Dokończyć nie mogła.

Ode drzwi porwała się teraz Marya i rękę rozkazującym ruchem przed siebie wyciągnęła.

— Ani słowem więcej!... słyszysz mnie!... ani słowa!—krzyknęła drżącym, zmienionym głosem.

— Póki szarpałaś mnie samą, póki mię włożyłaś, jak skazańca za włosy, tu, pod swojemi stopami, milczałam, choć wiem, że milczeć nie powinnam! Lecz teraz!... gdy mi płwasz na mogiły, milcz!... i cieni z grobu nie wywlekaj! O!... O!... ty!... ty!...

Umilkła słów jej brakło i tylko ręce jej brudne szybko stanik u szyi rozrywały.

Na białem tle drzwi odcinała się dokładnie jej ciemna głowa, prosta, wyprężona, ku Elżbiecie zwrócona.

Elżbieta na fotelu wciąż siedziała, zdumiona, przerażona tym nagłym wybuchem przed chwilą milczącej dziewczyny.

Lecz teraz już Elżbieta z krzesła swego powstała, cała z gniewu drżąca.

— Zuchwała! — krzyknęła chrapliwym głosem—zuchwała gadzino! chleb mój jesz—na mnie płwasz!

— Pracuję i płacona jestem nędznie!

— Nędznie!

— Wyzyskiwana!

— Idź, idź! pracuj gdzie indziej!

Po twarzy cień przemknął.

— Pójdę... skoro miejsce znajdę!

Elżbieta zapieniała się cała. Na myśl przyszło jej wspomnienie całej pracy, jaką Marya dźwigała na swych ramionach. Zastąpić jej nie było kim.

— Nie skoro miejsce znajdziesz, ale skoro cię puszczę!—syknęła wreszcie, cała granatowa od krwi nabiegu.

— Niewolnicą twą, ciotko, nie jestem! Ciała mego ci razem z czasem nie zaprzedałam.

— Niewdzięcznico!

— Nie szafuj słowami, których nie rozumiesz! Jestem wdzięczna tylko za dobro mi wyświadczone... Ty — chwilami czynisz mi życie ciężkiem...

Broda zadrgała jej nerwowo, twarz cała wykrzywiła się w kurczu bolesnym, chwilę krótką dziewczyna walczyła ze łzami, wreszcie, czując, że dłużej powstrzymać łkań nie zdoła, drzwi szarpnęła, do sieni wypadła i, szybko jak strzała, ze stopni ganku zbiegłszy, przez dziedziniec ku lasowi pomknęła.

Gdy została samą, ryk po prostu wstrząsnął jej piersią. Ten cały miesiąc ślania się cicho po kątach, ze swą wielką boleścią, wybuchnął

teraz w namiętym krzyku, który jej piersi rozdzierał.

Deszcz nie padał od dni kilku, lecz ziemia cała już rozmoczona i wilgotna, wyziewała z siebie opar jakiś, pełny zapachu rozkładającej się kory i gnijącego drzewa.

Marya osunęła się na mokry i pokryty gałązkami gnijącymi pień zwałonej osiny... i, nie ocierając łez, zanosila się, zawodząc coraz żałośniej, coraz jękliwiej. Zdawało się jej, że cała dusza rozplynie się teraz w tych łzach, które nieprzebraną strugą z jej oczu płynęły. Tchu jej brakło, dławila się jękiem, rozdzierającym jej zbolale piersi...

Las milczał dokoła, bez śladu wichru, któryby nagimi gałęziami wstrząsał. Światło, w którym drzewa tonęły, było szare, ołowiane, jakby mgłą pociągnięte, która się wśród cienia włóczyła, i do dołu ciągnęła.

Od góry niebo białawe, jakby powleczone srebrną siatką, dżdżystą i wilgotną.

Powoli — jęk dziewczyny milkł i przechodził w „holoszenie” płaczek nad mogilkami zmarłych.

Marya, skuliwszy się na pniu, rękoma kolana objęła i bezwiednie przyjęła pozycję chłopiek, zawodzących żałośnie nad dolą swoją marną.

Całe życie poniewierki i upokorzeń zarysowało się przed nią teraz z dokładnością przerażającą.

Tak!... ciotka miała słuszność.

Nędzną była, biedną, brzydką — nie mającą poprostu koszuli na grzbiecie.

Wiedziała o tem oddawna, poznała swą biedną niedolę... lecz — dlaczego teraz dopiero czuje to w zdwojony sposób? Dlaczego wobec Antoniego nie wstydziła się swej ubogiej sukienki? Silną była na uroczysku w Wołochowie, silną, szczęśliwą, wesołą...

A przecież — tam, sama wyrzekła z dumą: „Słabymi się brzydzę!”

Słabymi!...

Cóżby mógł jej powiedzieć teraz Antoni, gdyby ją zobaczył znękaną, przybitą, splakaną, w rozterce z życiem, z duszą własną, z ciotką, z... własną wolą!

„Słabymi się brzydzę!...”

I z krzykiem znowu się za głowę porwała.

Słabą była, nędzną, wiedziała o tem — i czuła się zwyciężoną przez samą siebie... I nikogo, nikogo, ktoby mógł przytulić jej głowę zbolalą, ukoić, pokrzepić, ukazać jakiś punkt jasny w tym ciemnym odmęciel...

Nikogo!... Nawet matki, tej naturalnej powiernicy każdego serdecznego bólu... tego spokojnego objęcia rąk ukochanych, po za którymi serce, niepewnością dręczone, milknie i boleć przestaje... Nagle, na ścieżce zaszumiały liście. Ktoś szedł powoli, deptąc gałęzie.

Maryja z głową ukrytą w dłoniach, siedziała, nie widząc nadchodzącego żyda.

Gdy Szmul stanął przed nią, dziewczyna ciągle jeszcze tonęła we łzach, które jej przez palce przeciekały.

— Dzień dobry, panience!

Maryja drgnęła, lecz rąk od twarzy nie odrywała.

— Panienka płacze?!

Głos starego koniokrada jakichś łagodniejszych nabierał odcieni.

— Co to panience?

Ona próbowała się podnieść, lzy otrzeć i uśmiechnąć się z przymusem.

— Nic mi, nic mi nie jest...

Lecz żyd głową kiwał.

— Nie wierzę, panna cała zaszlochana! aj, waj!... kto widział sobie młode oczy psuć?!...

Maryja ręką machnęła.

— Co mi z nich!

Żyd się uśmiechnął.

— Tak mówić, źle — odparł — co bez oczu człowiek znaczy? nic!... Oł, u mnie ślepa jest jedna córka, Gołda, biedne dziecko!... aj, waj!... co ona cierpi bez jasnego dnia, no!...

Milczeli oboje, tylko jeszcze spazmatyczne łkanie piersią Maryji wstrząsało.

— Pannie musiała 'ciocia dogryźć — zaczął znów Szmul — źle ona robi, bo panienka haruje kolo jej dobra uczciwie i rzetelnie!... No, niech panienka nie płacze. Starego Szmula zaraz coś

we wnętrzu boli, kiedy ludzkie łzy widzi... Ja tylko żyd, ale ja czułe serce mam. U mnie w rodzinii wszyscy tak... tylko jeden Jankiel twardy i lez nie zna. Ny, on też osobno idzie swoją ścieżką... niech idzie.

Rękę za pas położył i spochmurniał na wspomnienie najstarszego syna, który już kilka krwawych, a bezkarnych kresiek na sobie dźwigał.

Łkanie Maryi przywołało go do rzeczywistości.

— Aj, aj!... jeszcze panienka szłocha!— wyrzekł, pochylając się ku skulonej dziewczynie. — Schowaj panienka łzy na dalsze życie. Nie zabraknie ci na to ani czasu, ani chęci. Cóż ciotka? ma w sobie wiele paskudnej złości, ale to zawsze rodzina, a to wielkie słowo, takie słowo!

Brodę siwą pogładził spokojnym ruchem patriarchy.

— Rodzina u nas, żydów, znaczy wszystko. Kto ją ma, to szczęście ma! Panienka, choć rodziców straciła, ale rodzinę ma, o!...

Łzy Maryi coraz gęściej znów spadać zaczęły.

— Mamę panienki, to ja znał! o, jeszcze maleńką dziewczynką. Bywało— nieraz na ganek Horodyszczka wybieży i o mace pyta. Aj! na Hamana ja jej makagigi przywoził i cukierki dawał. Jak podrosła, to znów często płakała i smutna była, bo pokochała się w ojcu panienki, a dać ją za niego nie chcieli. Ja miał w Horodyszczu wielkie zachowanie, to nieraz babcia panienki

mówiła: „aj, Szmul! Szmul! utrapienie mi to z tą dziewczyną, co czynić!” Ja brodę gładził i mówił: „zdać to na czas! to się odmieni!... młode to i zapomni!”

Maryja głowę podniosła.

„Młode, to i zapomni!”

Stary żyd znał chyba życie może i ona zapomni z czasem i do równowagi wróci.

Łzy oschły na twarzy dziewczyny. Nie czuła się jednak na siłach powracać do domu. Spokój, który powoli wstępował w nią całą, zamało był ugruntowany, aby go nie spłoszyli ludzie tchnieniem swem. Pragnęła chwili ciszy; powstała tedy i zaczęła iść wąską, wydeptaną ścieżką, pod drzewami się wijącą.

Z pod mieszaniny brzoź, osin i grabów dostała się teraz powoli pod wilgotne sklepienie sosen, zielone, ciemne, ciężkie od dżdżu i nisko się opuszczające. Cała ziemia zasypana tu była masą igieł, po których lały się cieniuchne strugi wody, ku dołowi spływające.

Maryja szła teraz ciągle naprzód, jakby gnana potrzebą ruchu bezmiernego. Smutek jej serca, wobec świeżo przez Szmula poruszonych smutków, wydawał się szczątkiem krepy, wobec olbrzymiego całunu, zakrywającego tysiące serc. Wstydzić się zaczęła bezsennych nocy swoich, strawionych na chorobliwym majaczeniu o ujrzanym niespodziewanie mężczyźnie. I przez chwilę zdawało się jej, że Stanio był dla niej mytem, że

nie istniał, nie zabierał przemocą spokoju jej duszy, nie ranił zbyt silnie zbudzonego serca.

Las stał się coraz rzadszym—tu i owdzie spotkać można było pień wyrąbanej sosny, świeży, zdrowy, żółtawe swe wnętrze w dziennem świetle prezentujący.

Sosny mały nagle, karły, tu i owdzie pochylone, zgarbione. Niektóre, nadcięte siekierą schły, opuszczając brązowe gałęzie, z których spadały igły. Niektóre nosiły na sobie znak ciemny, dwóch liter z sobą splecionych, jak było na reż do szlachtuza wleczone.

Marya wydostała się na polankę, na której rozciągała się teraz kolonia niemiecka „Elżbietówka” zwana.

Cały błam lasu po za kolonią, wyrąbany i z ziemią zrównany, w niektórych tylko miejscach czernił się wywróconymi pniami, lub jeszcze napół w ziemię wrosłymi korzeniami ściętych drzew. Tu i owdzie na tej jasnej przestrzeni wznosiły się wąskie pasy dymu od ognia, któremi Niemcy pnie niszczyli, ułatwiając sobie w ten sposób pracę. Pomiedzy kadłubami zczerniałych i zwęglonych brył snuli się cicho mężczyźni, pochyleni, wpół zgięci, z rękoma zwałaniem zczerniałem błotem, mokrem, ślizgiem, tłustem.

Kilkadziesiąt chat, a raczej domów, wznosiło się gontami krytych, w prostej ustawionych linii. Niektóre z tych domów nieskończone świeciły szkielekami żółtych belek i pali, doczepionych do

głównego cielska domostwa. Na tych belkach okrakiem siedzieli pochyleni Niemcy, pracując pilnie zziębniętymi i prawie granatowemi z zimna rękoma. Chłopcy mali, ze zręcznością małp lażili po palach, pomagając ojcom, podając kawalki drzewa, kliniki, goździe, dachówki, cali zmoczeni wilgocią w ubogich ubrankach, słabo chroniących ciało od mrozu. Jakaś dziewczyna w krótkiej spódnicy, na kościstych biodrach przewieszonej, w staniku kamlotowym, szła brzegiem rowu, prowadząc na postronku chudą krowę. Ciepła dera okrywała zwierzę, kobieta szła ledwie perkalikiem odziana. Ciało jej nabierało fioletowych tonów, wązka wstążka ust niknęła w zziębniętej twarzy.

Dziewczyna przeszła koło Maryi, nie uchyliwszy głowy, harda, smutna, sztywna.

Marya mimowoli za nią oczyma powiodła. Była jeszcze od niej nędzniejsza, gorzej odziana i pewnie nieszczęśliwsza!

Nagle, prawie z pod stóp Maryi, z wnętrza ziemi, wyloniła się żółta głowa dziecka. Głowa ta pozostała na powierzchni, a za chwilę cały korpusik chudy wysunął się z rozpadliny.

Dziecko wydostało się na ścieżkę i biedz zaczęło w stronę karczujących ludzi, przeskakując zręcznie kałuże wody bosemi nożynami.

Po chwili znów drugie dziecko, cokolwiek starsze, wylazło z ziemi i znów w stronę pola pędziło. To ostatnie trzymało w brudnym galga-

nie trochę upieczonych kartofli i kawałek owsianego placka.

Maryja teraz wzrok swój w rozpadlinę ziemi zwróciła.

Była to wielka jama z podłożnym, w ziemię się zagłębiającym korytarzem. Jamę przykrywała słoma, chrust i mech, które to przykrycie tworzyło rodzaj dachu. Zardzewiały, blaszany kominek z pomiędzy chrustu wystawał. Cieniuchna smuga dymu wydobywała się z niego z trudnością i po dachu się snuła.

Teraz, w otworze korytarza, ukazała się do połowy ciała kobieta i pilno w stronę pola patrzyła. Dzieci majaczyły już tylko w oddali, złączyły się razem i przystały na środku pola, zapewne placek ogryzając.

— Karl!... Franz!... unverschämte Kinder!— zawołała kobieta.

W zmęczonych jej rysach Maryja poznała Niemkę, której kilka tygodni temu dopomagała w znalezieniu dziecka.

Teraz już wykopali sobie jamę i jak zwierzęta nędzne w ziemię się wkręcali, zimując w ten sposób i czekając cierpliwie, aż siekiera ojca dom mieszkalny wzniesie, dom czysty, widny, biały, malwami otoczony. Był to jakiś upór niczem nie zwalczony, zaciętość straszna w znoszeniu nędzy, mrozu, wilgoci, jedynie w chęci posiadania obcego gruntu, przywłaszczenie sobie ciężką, brutalną dłońią coraz większych posiadłości.

Maryja smutnym wzrokiem po całej kolonii powlekła.

Na miejscu sosen niebotycznych zaległa pusta przestrzeń lichego pola, wydmy piaszczyste we wnętrzu swem kryjącego. Na tej wydmie, jak kruki na pobojowisku, kilkadziesiąt postaci skurczonych, skulonych, ziemię wilgotną i jakby łzami zmoczoną szarpało... Z wnętrza ziemi, z rozpadlin, jak widma gnomów powstające, roily się w szarem świetle jesiennego popołudnia drobne, nędzne istoty. Dzieci te rosły powoli, rozwijały się ciężko, lecz rosły zawsze, silne ilością i prawem zasiedzenia, jak żydzi, jakąś karczmę na wieczność dla siebie biorący.

Widmo Stania znikło już teraz zupełnie z przed oczu dziewczyny. Cała zapatrzona w ponury obraz zniszczenia, jakie miała przed sobą, za wielkie smutne horyzonty ogarniała myślą, aby wsłuchiwać się w echa menueta, lub marzyć o oczach przysłoniętych długą rzęsą. Z głową na piersi spuszczoną przeszła wzdłuż rowu, w którym ciekła szaro czarna, leniwa struga. Jakiś pies, żółty, z najeżoną szczecina, o fałszywych i złych oczach, chleptał tę wodę szpiczastym ozorem. Dwie dziewczyny, od strony obozu wracające, błyskały złotemi w uszach kolczykami. Szły, trzymając się za ręce wyczerpane, znużone.

Maryja z drogi im zeszła i znów w las się zwróciła.

Teraz już czuła się niemal uspokojoną.

Wie, co robi: dom ciotki opuści i pójdzie pracować w inne strony. Ziemia jest tak rozległa,

sosny i macierzanka rosna na całym Wołyniu, siano pachnie jednako... Jeśli jest w niej jaka miłość, toć pewnie do tej ziemi, która w szarej mgłę jesiennej skarżyć się zdaje. Tak! — serce Maryi, jeśli w tej chwili jest raną, to rana ta jest poprostu odbiciem jamy wykopanej w ziemi, w której się kłębią masy żarłocznego robactwa.

Jakże, ona? ona, tak spokojna, czysta i nieskalana mogła się dać opętać po prostu uczuciu, niegodnemu wejść w jej życie! Pojąć teraz tego nie może, zdala od miejsc, które jej obecność Stania przypominają. Czego spodziewać się mogła, ulegając ogarniającej ją miłości? Szyderstwa i pośmiewiska ciotki! Ona, ona zawsze tak dumna i silna, ona, która prócz upajającego spokoju o zachodzie słońca, innych rozkoszy nie znała!... ona, której pierś dziewicza jedynie zapach pól i sosen w siebie chłonęła, ona, z woniejącą ziemią zda się zrosła, w promieniach słońca skąpana, w potokach zieleni i srebrze Styru żyjąca!

Cała miłość dla Stania wydała jej się teraz płaską, banalną przygodą. W tej szerokiej przestrzeni lasu, pokrytego płatami zimnej wilgoci, ona poznawała siebie, odnajdywała utracone uczucia, porywy, zadowolenia. Wyciągała ręce, tuląc do siebie smukłe białe brzoźki, zabiegające jej drogę, mówiąc namiętnym, gorączkowym głosem:

— Moje! moje!...

Nagle na skrócie lasu zaszarzało coś wśród drzew.

Dwoje ludzi szło ścieżynką, w pół się trzymając. Oboje mieli na sobie świty szare, czerwonymi sznurami szyte, niezgrabne, obszerne, kolan sięgające. Kobieta tylko odznaczała się purpurą chustki, która głowę jej okręcała. Mężczyzna buty z nóg zdjął i na kiju je przewiesił, w błocie brnął boso. Dziewczyna u ramienia mu się uczepiła i szli tak przysunięci do siebie, że pomiędzy ich świtami ani szczeliny nawet nie było.

Marya poznała płowe włosy Iwana Stepanowego syna, i szerokie ramiona Motruny, Hieronimowej dońki... Objęła ich wzrokiem, tych dwoje „przysądzonych”, którzy z miasta pewnie wracali, bo kilka hladyszek i sito obok dziewczki się objało. Hladyszki, sito — na nowe gospodarstwo!

Kupili te skorupy i teraz szli, uśmiechnięci, zgubieni w tym lesie, który, jak wielka alkowa, swe bezlistne gałęzie nad nimi płatał.

Marya patrzyła wciąż na te dwie postacie, oddalające się coraz więcej i cały gmach spokoju, jaki budowała w duszy, runął w jednej chwili. Bose kroki nóg Iwana i pochylona na ramieniu chłopa głowa Motruny — rozbily w puch szklaną przegrodę, jaką Marya pomiędzy sobą i widmem Stania wznosiła.

Ręce jej, oplatające brzozę, opadły. Brzoza wydała się jej bezduszną istotą.

Lecz bunt ten duszy dziewczyny przybrał inny jeszcze charakter. Żal, żal bezmierny ogar-

nał ją całą. Na widok szczęścia tych dwojga, pod drzewami niknących, zdało się jej, że pod stopami otworzyła się nagle mogiła, w którą ona szczęście swoje złożyć powinna.

Teraz — już Iwan i Motruna znikli po za pniami drzew. Została po nich szara, niepewna smuga światła, po ścieżce się wlokąca. Marya w smugę tę patrzyła i znów lzy oczy jej zasłaniać zaczęły.

Gdy do dworku powoli, nad wieczorem już, wróciła, spotkała ją na dziedzińcu, czatująca na jej przyjście, Władysława.

— Panienko! do oficynki proszę duchem! Panna Leontyna bez pamięci leży, ta pewnie zamrze biedaczka! Ledwie dyszy!...

Marya szybko zwróciła się w stronę oficynki.

Serce jej targnęło się boleśnie. Oddawna lękała się katastrofy, którą słońca jesienna przyspieszyć tylko mogła.

— Posłano po doktora?

Władysława oczy wytrzeszczyła.

— Ta kogo, panienko serdeczna?

— Czy ja wiem? głowę tracę!

Przed gankiem dworu bielili się konie Brunona, który właśnie z bryczki się gramolił.

Odchorowawszy forsowną jazdę leśną, całą tę sprawę na drogę sądową skierował, i znów objazdy po sąsiedztwach rozpoczął.

Marya szybko ku niemu przyskoczyła.

— Panie Brunonie — zaczęła gorączkowo—

ciotka Leontyna zachorowała ciężko! Proszę! jedź pan do miasta i przywieź doktora!

Brunon cofnął się przerażony.

— Ja? za nic w świecie, panno Maryo! koniczkom źleby to posłużyło... a ja ledwie żyję przez tych infamisów, którzy mi w lesie tak dogodzili. Oh!

Marya brwi zmarszczyła.

— Zamało to wszystko, skoro pan jeszcze po świecie chodzisz!—rzuciła mu, prosto w twarz skąpcą patrząc.

— Oh! — powtórzył Brunon, do bryczki włączając, tak mu twarz dziewczyny imponowała w tej chwili wielką siłą i stanowczością.

-- Jedź pan po doktora do miasta!—mówiła Marya, na drążku bryczki rękę oparłszy — nie wiem, co między tobą i ciotką Leontyną było! Słyszałam coś o tem. Mniejsza z tem. Dziś tylko to wiem, że ona umiera, a ty przyłożyłeś się do jej cierpień niemało...

— Ja...

— Tak... W chwili konania choć niech ulgę ma z twojej ręki.

Brunon był błydy i zmieniony. Skurczył się na siedzeniu bryczki i okrywał fałdami swego płaszczyka.

— Pojadę... — wykrztusił wreszcie, rzucając ukośne spojrzenie na oficynkę, w której światelko błyskało.

Marya od bryczki odstąpiła. Kulik konie zaciął, bryczka podskoczyła i z łoskotem koło oficyny przeleciała.

Marya szybko ku drzwiom biedz zaczęła.

Tymczasem za bramą Brunon na siedzeniu się uniósł i, szarpnąwszy Kulika, w ucho mu krzyknął:

— Kuliczku, serce! do Zabijanika, do domu pana grafa wieź!...

Kuliczek głową skinął i na lewo szkapy huzarskie zawrócił.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.



77132/2

KAKAO i CZEKOLADA

◦ ◦ WEDLA ◦ ◦
◦ ◦ ◦ ◦

zawdzięczają swe wielkie rozpowszechnienie doborowi surowych materiałów i sterannej na półwiekowym doświadczeniu opartej fabrykacji i dlatego też z roku na rok — cieszą się coraz większym uznaniem. —

KAKAO OWSIANE WEDLA

niezrównany środek odżywczy dla dzieci i osób chorych na żołądek. Zalecane przez
◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦ ◦

PODWALINĄ BYTU

każdego człowieka jest właściwe i higieniczne odżywianie w latach dziecięcych

**MĄCZKA MLECZNA
NESTLÉ'a**

jest uznana przez największe powagi lekarskie jako najodpowiedniejszy pokarm dla niemowląt i dzieci.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński“

w Warszawie
ul. Elektoralna 35, telefon 600
poleca

Karpińskiego
Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, potysku-
jącą, skłoną do wągrów i pryszczy, oraz przy
tuszczaniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego
Mydła Alkalicznego Nr 2
Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego
Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.
Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego
Mydła Neutralne

znakomity środek higieniczny do pielęgnowania
twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt

Żądać wszędzie.

ZAKŁAD FREBLOWSKI
Haliny Tarnowskiej

WARSZAWA, Zielna 11.

Przyjmuje freoblistki i ochro-
niarki. Kierunek ściśle pe-
dagogiczny. 12—7

St. Lipczyński

GRAWER

Dostawca towarzystw Sportowych

WARSZAWA

Marszałkowska Nr. 149.

tel. 134-84 13—7

Magazyn Bielizny

R. MALICKI

Chmielna Nr. 20.

Wybór wielki 26—7

Ceny przystępne.

„PROMIEN“

Czytelnia dla dzieci i młodzieży
(oddział dla dorosłych)

Marszałkowska 119 (parter)
Telef. 181-90.

Książki w 4 językach; prenumer. pism.
Codzienna dezynfekcja książek
na miejscu. 26—4

FORTEPIANY I PIANINA
po cenach najniższych poleca

A. Owczarski

Mazowiecka Nr. 11.

tel. 110-38. 52—7

Gruntowne reparacje.

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH,
ZŁOTYCH I
Z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ 52—7

BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

Pierwszorzędne Kaucjonowane
BIURO NAUCZYCIELSKIE

Beokadji Max

Warszawa, Marszałkowska 148.
Telefon № 124-38.

Poleca: nauczycielki, nauczy-
cieli, freblówki, bony polki
Francuzki, angielski, niemki —
sprowadza z własnych biur za-
granicznych. 12—3

NAGR. W. ZŁOT. MEDALEM W PARYŻU.
ZNANY
ZE SWEJ
SKUTECZNOŚCI
NA WYNISZCZENIE
ODCISKÓW
WYSTRZEGAĆ SIĘ.
ARAGO
ST. GÓRSKIEGO
351
60K
LESZNO 12
NASŁUBOWNICZKA

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich.
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE

Herbata z gór Harcu

Dr. Lauer's Harzer Gebirstee). Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie zatwierdzona przez Departament Medyczny przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten przyjmowany w ilości 2—3-ch filiżanek tygodniowo, lecz wywrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie

Działania skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny
Cena pudełka Rub. 1, pół pudełka 50 kop.
UWAGA. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN

Warszawa, Złota 26. Kantor i skład w podwórzu. Tel. 184-44.

Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla z doliczeniem kosztów przesyłki podług taksy pocztowej. Wystrzegać się falsyfikatów.

NAJWIĘKSZY POLITYCZNY DZIENNIK POLSKI

GŁOS WARSZAWSKI

„GŁOS WARSZAWSKI“ stawia sobie za główny cel dostarczenie dokładnych, bezpośrednio ze źródła czerpanych informacji o sprawach ogół polski obchodzących i oświetlanie ich ze stanowiska interesów narodowych polskich.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: SZPITALNA 14.

TELE.: REDAKCYA 88, ADMINISTRACYA 25-51, DRUKARNIA 172-28.

SKRZYŃKA POCZTOWA 257.

RACHUNEK PRZEKAZOWY Nr. 14 w BANKU TÓW WSPÓLDZIELCZ.

CENA PRZEDPŁATY:

W Warszawie:

rocznie rb. 9.00

półrocznie „ 4.50

kwartalnie „ 2.25

miesięcznie „ —.75

za odnośnienie do domu 10 k. mies.

Z przesyłką pocztową:

rocznie rb. 12.—

półrocznie „ 6.—

kwartalnie „ 3.—

Za granicą:

kwartalnie rb. 4 50

Zmiana adresu 20 kop.

Cena oddzielnego egzemplarza 3 kop. Dostać można we wszystkich ajencyach pism, kioskach i na kolejach. Prenumerować można we wszystkich kantorach pocztowych. Żądać numerów okazowych.

Najpoczytniejszy organ na prowincyi.

„KURJER POLSKI“ na rok 1912-y.

Pismo społeczne i polityczne, wychodzi codziennie nie wyłączając świąt pod redakcją Ludwika Straszewicza.

Cena cztery ruble rocznie, jeden rubel kwartalnie, dla wszystkich, którzy prenumerują „KURJERA POLSKIEGO“ bezpośrednio — w kantorze pisma, lub przesyłają pieniądze przekazem.

Dla osób prenumerujących KURJERA za czymkolwiek pośrednictwem (księgarzy, biur pocztowych i t. d.) „KURJER POLSKI“ kosztuje: rocznie rb. 4 kop. 60; półrocznie rb. 2 kop. 30, kwartalnie 1 rubel kop. 15.

„KURJER POLSKI“ pomimo tak niskiej ceny zawiera też samą treść, co dzienniki duże i drogie. Więc artykuły wstępne najrozmaitszej treści. Wiadomości z całego świata. Informacje naukowe i życiowe. Telegramy i t. d.

„KURJER POLSKI“ co tydzień dodaje bezpłatnie wszystkim prenumeratorom, ilustrowany

„TYDZIEŃ POLSKI“

w którym mieszczą się interesujące artykułiki naukowe, historyczne, powieści, nowele, różności, fraszki, szarady, zadania i t. d.

Warszawa, Ś-to Krzyska N-ry 34 lub 36.

GONIEC PORANNY I WIECZORNY.

NAJPOCZYTNIEJSZE PISMO POLSKIE.

Wychodzi dwa razy dziennie przy współpracownictwie wybitnych publicystów i literatów polskich. GONIEC stoi na straży ideałów narodowych i wyznaje zasady szczerze demokratyczne. Wielka poczytność „Gońca Porannego i Wieczornego“ czyni najodpowiedniejszym pismem dla wszelkich ogłoszeń.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje główny kantor:

ZGODA Nr. 5, oraz nasze filje i kantory.

Cena Prenumeraty „Gońca Porannego i Wieczornego“.

W WARSZAWIE: miesięcz. k. 60, kwartal. rb. 1 k. 80, rocznie 7 k. 20.

NA PROWINCJI: „ „ 80, „ „ 2 „ 40, „ 8 „ 60.

ZA GRANICĄ: miesięcznie rb. 1 k. 40, kwartalnie rb. 4 k. 20.


Zmiana adresu pocztowego kop. 20. Za odnośnienie miesięcznie kop. 15.

Cena egz. Gońca Porannego i Wieczornego 2 k. na prowincji k. 3.

Istniejący od roku 1850.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie  Ceglana 11.

Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE.

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Róże pienne i krzaczaste.
SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI.

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne.

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.